



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Alicja Strojnowska

Legionowo moich wspomnień...

W Legionowie spędziłam siedem lat swego młodzieńczego życia. Tu byłam szczęśliwa i beztroska; tu przeżyłam również dramatyczny okres II wojny światowej; tu w 1942 roku włączyłam się do walki zbrojnej z okupantem, wstępując do Armii Krajowej...

Młodzieńcze lata

W czerwcu 1939 roku ukończyłam szóstą klasę Szkoły Powszechnej nr 2 przy ulicy Jagiellońskiej w Legionowie. W ostatnim dniu jak zwykle odbyła się uroczystość. Wychowawca mojej klasy, pan Tadeusz Biernacki, dał mi wiersz pt. „Rozstanie ze szkołą”, który mówiłam podczas akademii. Jego treść wytyczała nam drogę na dalsze życie: „...a wszystkie siły skierujemy jedynie tam, gdzie tkwią cele każdego Polaka”. Nie przewidywałam wówczas, że jest to prawdziwe rozstanie ze szczęśliwym dzieciństwem i młodzieńczymi marzeniami.

Na początku sierpnia 1939 roku wyjechałam na parę dni do Gdyni. Byłam także na Helu, w Jastarni i widziałam Westerplatte. Przebywaliśmy tam bardzo krótko, bo „coś” wisiało w powietrzu. Coś nieuchwytnego, a zarazem wrogiego, Ludzie coraz częściej mówili o wojnie. Władze gminy w Legionowie wydały polecenie, aby na strychu każdego domu znajdowały się piasek, łopata, wiadra i woda. Prasa zapowiadała próbę syren alarmowych, a prezydent Starzyński wzywał mieszkańców stolicy do kopania schronów przeciwlotniczych. Tata wykonał i urządził taki schron na podwórku posesji.

W dniu 25 sierpnia 1939 roku podano do publicznej wiadomości, że nowy rok szkolny rozpocznie się w nieco późniejszym terminie.

Noc z 29 na 30 sierpnia była duszna i parna. Na niebie kłębiły się ciężkie chmury. Zdawało się, że za chwilę rozpęta się burza z piorunami. W domu Rodziców panowało napięcie...

W Legionowie pierwszy dzień września 1939 roku był tak pogodny, że nawet najmniejsza chmurka nie przesłaniała błękitu nieba. Nad miastem od samego rana krążyły niemieckie samoloty, a potem całymi eskadrami oddaliły się w kierunku Warszawy. „Wojna” – leciało wraz z warkotem maszyn.

Przyjechał pociąg z Warszawy, którym z pracy wrócił do domu mój Tata. Zjedliśmy razem obiad. Mama zajęła się jakąś robotą w kuchni. Ojciec, Wiesio i ja wyszliśmy do ogrodu. Staliśmy tam zadzierając głowy do góry i obserwując lśniące srebrem samoloty – polskie myśliwce i niemieckie bombowce. Wówczas jeszcze nie wiedziałam co znaczy słowo wojna. Nagle odezwały się pojedyncze strzały, a później całe serie. Instynktownie przywarliśmy z bratem do drzewa. Schron przeciwlotniczy znajdował się

w głębi ogrodu, ale my woleliśmy stać tu i przyglądać się prawdziwej, powietrznej walce. Tata jednak kazał nam natychmiast iść do domu. Rozpoczął się bowiem jakiś piekielny, nigdy dotąd nie słyszany przez nas hałas.

Już od tamtego pamiętnego dnia widziałam łzy w oczach Mamy i sąsiadek, które nas odwiedzały. Wieczorem modliłam się z Rodzicami i młodszym bratem o to, żeby polskie wojsko przepędziło tego strasznego, widocznego tylko w postaci samolotów wroga.

Bitwa powietrzna dobiegła końca. Niemcy odlecieli na zachód. Ulicą w kierunku naszego domu zbliżał się szybko na rowerze jakiś mężczyzna. Usłyszałam słowa Mamy:

– Czy do nas?

Mężczyzna zbliżył się do parkanu. Kiedy Tata otworzył furtkę otrzymał od niego jakiś papierek. Okazało się, że było to wezwanie do stawienia się za dwie godziny w Warszawie. Najbliższy pociąg odchodził za dwadzieścia minut. Do stacji Legionowo Przystanek szło się od nas około dziesięciu minut. Czasu pozostało więc niewiele. Mama w pośpiechu wzięła się do pakowania bielizny na zmianę, jedzenia i czegoś tam jeszcze. Tata przerzucał swoje dokumenty. Niektórych nie chciał zabierać ze sobą. Za chwilę nastąpiło pożegnanie. Tata spiesznie minął ogród, furtkę i oddalał się od domu coraz bardziej i coraz dalej... Mama stała w drzwiach i płakała, żegnając Ojca na drogę Krzyżem Świętym.

Dzień 3 września 1939 roku przypadał w niedzielę. W Legionowie Niemcy, prawdopodobnie chcąc zbombardować koszary i węzeł kolejowy łączący Warszawę z Modlinem i Zegrzem, zrzucili dwie lub trzy bomby zapalające. Zginęło kilka osób cywilnych. Koszary i stacji nie udało im się uszkodzić.

W komunikacie radiowym podano, że płonie Westerplatte, ale obrońcy nie poddali się. Z radością i wzruszeniem wysłuchiwałam informacji, że Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę i rozpoczęły się walki morskie o wielkie szlaki komunikacyjne. Dotarła do nas wiadomość, że hitlerowcy znajdują się już gdzieś niedaleko Ciechanowa i szybko posuwają się w głąb naszego kraju. Wojsko Polskie jak mogło powstrzymywało te natarcia. Ale Ciechanów był tak blisko Legionowa... Przez miasto ciągnęły szeregi zgłodniałych i zmęczonych żołnierzy. Niektóre małe oddziały zatrzymywały się przy naszych domach. Mama gotowała wówczas dla nich zupę.

13 września (we środę) Niemcy wkroczyli do Chotomowa. Wieść ta lotem błyskawicy rozeszła się wśród mieszkańców Legionowa. Po raz pierwszy zobaczyłam stalowoszare niemieckie mundury. Zaraz po wkroczeniu zabronili przechodzić przez tory kolejowe na szlaku Chotomów-Legionowo. Wolno było przekraczać je tylko w Chotomowie, na stacji Legionowo Przystanek, na znajdującym się dalej przejeździe kolejowym oraz na dworcu w Legionowie.

Okupanci od razu wprowadzili godzinę policyjną. Wyglądiali ludzie nie przestrzegali jednak tych przepisów. Kiedy nadchodził świt ludzie, a wraz z nimi i ja, szli wzdłuż toru kolejowego do piekarni w Chotomowie. Tam staliśmy w długiej kolejce po chleb. Nieraz zabrakło pieczywa i cała wyprawa spelzała na niczym.

Niemcy mieli zwyczaj stawiania kuchni polowych na podwórkach przed domami mieszkańców Chotomowa. Z gotującej się w kotle zupy zalatywały smakowite zapachy, drażniące nozdrza i podniebienia zgłodniałych ludzi.

Na parkanach posesji, słupach i tablicach informacyjnych pojawiły się niemieckie ogłoszenia wzywające do powrotu do pracy. Zapowiadano, że wszelki opór będzie tłumiony, a za akty sabotażu winnych spotka kara śmierci. Za sabotaż uznawano m.in. uchylanie się od wykonywania zarządzeń, np. nie otwieranie sklepów. I chociaż w sklepach nic nie było, musiały być one czynne.

Ojciec wrócił do domu 25 października 1939 roku. Jaka byłam szczęśliwa! Znowu byliśmy razem. Choć upłynęło pół wieku, jeszcze dziś wspominam ten wieczór. Wracalam akurat z Mamą od znajomych którzy podobno mieli jakieś wiadomości od Ojca. Było już zupełnie ciemno. Przez całą drogę rozmawialiśmy jakby to było dobrze, gdyby Tata już wrócił z tułaczki. Byłyśmy niedaleko domu, kiedy przybiegł do nas Filut – stare, pocziwe psisko, które nigdy nikomu, oprócz nas, nie pozwoliło się zbliżyć do siebie, a tym bardziej spuścić z łańcucha Czyżby więc wrócił Tata? Tak, to był on. Przyszedł do domu boso bo całe nogi od stóp do kolan miał pokryte ranami. Nie mógł włożyć żadnych butów. A wracał z bardzo daleka, bo aż spod Lwowa, gdzie ewakuowano go jeszcze we wrześniu.

W dniu 26 października 1939 roku okupowane ziemie polskie zostały podzielone na dwie części. Chotomów włączono do Generalnej Guberni Pozostawiono tu sześć- i siedmioletnie szkoły powszechne oraz zawodowe. Ukazało się rozporządzenie zabraniające posiadania aparatów radiowych i fotograficznych. Zlikwidowano polską prasę. Wychodziła tylko jedna gazeta po polsku, ale pod niemiecką cenzurą. Był to Nowy Kurier Warszawski, nazywany powszechnie gadzinówką. Zabroniono grania i słuchania muzyki Chopina.

W koszarach w Legionowie hitlerowcy otworzyli szpital dla jeńców wojennych. Leżało tu kilkudziesięciu ciężko rannych polskich żołnierzy. Warunki sanitarne były straszne. Pacjenci nie mieli co jeść, ani czym się myć Wszędzie było pełno robactwa. Brakowało środków opatrunkowych. Nasza znajoma, panna Zosia, mówiła Mamie, że nieraz dwukrotnie w ciągu dnia biegnie do szpitala, aby odebrać brudne i zanieść czyste – wyprane w domu – bandaże. Znając język niemiecki próbowała

wyłudzać od wartowników trochę jedzenia, papierosów i mydła dla rannych. Dowiedziała się też od nich, że wkrótce wyrzucą żołnierzy ze szpitala, bo budynek jest im potrzebny do innych celów. Mama po wysłuchaniu tych informacji obiecała zorganizować pomoc wśród najbliższych sąsiadów.

Pewnego dnia ujrzałam pannę Zosię stojącą przed furtką i podtrzymującą slaniającego się żołnierza w rogatywce. Mężczyzna dosłownie zwiślał na jej ramieniu. Wybiegłam na podwórze. Zanim dotarłam do furtki moja sukienka przemokła od rześistego deszczu. Panna Zosia prawie zaniosiła rannego do naszego domu. Trząsał się cały z zimna i zapewne z wyczerpania, a kobieta usiadłszy na krześle raz po raz nabierała głębokiego oddechu. Pan Franciszek Mieczkowski miał poszarpane ramię, przedramię, udo i chyba również biodro. Poszła na strzępy jakaś stara koszula Ojca. Biedny żołnierz zaciskał z bólu zęby, kiedy przyszło do zrywania zaropiałych, zaschniętych bandaży. Później położyliśmy go w kuchni, która była jedynym ciepłym miejscem w całym domu.

Na Ludwisinie wysiedlono Polaków z ich domów i poszerzono nowo tworzoną dzielnicę żydowską, w której ulokowano wszystkich Żydów zamieszkałych na terenie Jabłonny i Legionowa. Dojeżdżając codziennie do szkoły w Warszawie musiałam na Dworcu Gdańskim przesiąść się do tramwaju, którym pokonywałam część warszawskiego getta (tamteży biegły tory). Miałam wówczas dziwne uczucie, że któregoś dnia wpuszczą za mur tramwaj pełen ludzi, ale już go nie wypuszczą.

W Legionowie obowiązywało również zamknięcie getta, ale brak otaczających go murów dawał lepsze możliwości przekradania się Żydów do polskiej dzielnicy. W ten sposób mogli zdobywać pożywienie.

Sytuacja materialna Polaków z dnia na dzień stawała się coraz gorsza. Niektórzy wyprzedawali z domu złoto, inni meble, a jeszcze inni nawet bieliznę pościelową. W domu Rodziców prawie całe złoto zostało już dawno sprzedane. Pozostały tylko obrączki i mój medalik od chrztu. W ślad za biżuterią poszła bielizna stołowa i zastawy. Wreszcie i to się skończyło. Więcej nie było czego sprzedawać. Ojciec nie mógł pracować, bo był inwalidą wojennym jeszcze z okresu I wojny światowej, a ponadto wciąż jeszcze odnawiały mu się rany na nogach. Wkładanie obuwia było dla niego męką.

Biedne moje Matczysko myślało nocami, aż wreszcie zdecydowało: dopóki Tata nie będzie mógł chodzić – ona będzie szyla. A zatem utrzymanie domu spadło na barki kobiety, która nierzadko całe noce ślezczała nad igłą. Zarobki były skromne – ledwo starczały na utrzymanie. Szycie jednak prawie nagle urwało się gdyż zabrakło klientek. A trzeba było coś jeść, zapłacić za moją naukę na kompletach i pokryć koszty w szkole krawieckiej. Ze łzami w oczach zgodziłam się na sprzedanie fortepianu.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Były to już drugie święta pod okupacją. Ceny żywności rosły gwałtownie. Mróz stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Z powodu braku węgla ograniczano komunikację podmiejską „ciuchci” jabłonowskiej do Warszawy. Ta „ciuchcia” była wspianym środkiem lokomocji. Małe parowoziki, małe wagoniki i prędkość jazdy dostosowana do aktualnych potrzeb. Te „potrzeby” pojawiały się wraz z przybyciem na stację mijanki w Wiśniewie żandarma, rekwirującego szmuglerom żywność, a także gdy spodziewano się łapanek. Wówczas parowozik sapiąc i dysząc zwalniał bieg, zasnuwał się buchającą parą i w ten sposób umożliwiał wyskakującym z kolejki ucieczkę z zagrożonego terenu. „Samowarek” – jak go niektórzy nazywali – słychać było już z daleka, nawet z odległości kilku kilometrów. Ludzie wiedzieli, że jego trzy krótkie gwizdy oznaczają niebezpieczeństwo i trzeba szybko przygotować się do wysiadania. Inicjatorem ostrzegania podróżnych przed grożącym im niebezpieczeństwem był Jan Bondarski, maszynista kolejki wąskotorowej Warszawskich Kolejek Dojazdowych.

Dwukrotnie zdarzyło mi się być uczestniczką takiego pospiesznego wysiadania. Pierwszy raz myślałam, że coś się w parowoziku zepsuło. Ale już drugim razem zmykałam razem z innymi.

Pociągiem ciężko było dojechać do Warszawy. Kilkunastostopniowe mrozy, śnieżne zaspasy i nieregularność kursowania (nieraz godzinę lub więcej stało się pod semaforem) sprawiały, że często spóźniałam się do szkoły. Nieraz zazdrościłam koleżankom mieszkającym w stolicy, które nie musiały wyczekiwać w zadymionej stacyjnej poczekalni lub stać na peronie, kostniejąc z zimna. Nadjeżdżający parowóz wydawał się wówczas wyśnionym marzeniem. Powroty z Warszawy też były utrudnione. Staralam się zawsze wracać pociągiem dla kolejarzy, który kursował na ogół punktualnie. Dojeżdżałam do stacji Legionowo, a stamtąd szłam pieszo jeszcze około czterech kilometrów do stacji Legionowo Przystanek. Stąd miałam już tylko około kilometra do domu.

Mama sprzedała swoją obrączkę. Potem obrączkę Taty i mój medalik z łańcuszkiem. Ogarniała nas nędza. Tata był bardzo chory i nie podnosił się z łóżka. Wiesio też siedział w łóżku, bo w mieszkaniu panował taki ziąb, że w pół godziny człowiek był zupełnie skostniały. Całym naszym pożywieniem w ciągu wielu dni było mielone młynkiem do kawy żyto, z którego gotowało się zupe.

Rodzice przenieśli się do Warszawy licząc, że może tu będzie łatwiej żyć. Zamieszkaliśmy u siostry Mamy, cioci Józki, która chociaż sama niewiele miała, starała się nam pomóc jak mogła. Któregoś dnia Mama wróciła do domu jakaś zmieniona. Zauważyliśmy, że mówiąc prawie nie otwiera ust. Zaczęliśmy się bacznie przyglądać i spostrzegliśmy, co było tego przyczyną – złote korony z zębów bocznych znikły na zawsze... Zaczęliśmy płakać. Wtedy Mama pokazała nam kupiony po raz pierwszy od wielu dni

chleb. Jedliśmy go łapczywie. Popijać nie potrzebowaliśmy – piliśmy własne łyzy. Tego dnia po raz pierwszy od bardzo dawna było ciepło w mieszkaniu.

Jacyś litościwi znajomi postarali się dla Mamy o pracę. Była to budka herbaciana na Placu Mariensztackim. Teraz codziennie rano dźwigaliśmy z Bednarskiej na Mariensztat samowar, wiadra, cukier i naczynia. Kubek herbaty był często dla Matki jedynym pożywieniem w ciągu dnia. Wieczorem, gdy wracała do domu, wsuwała nam do ręki kawałek zaoszczędzonego przez siebie chleba, a sama rozpaliała ogień w ciągle dymiącym piecyku. Tata powoli zaczynał wstawać z łóżka. Kiedy wreszcie rany zagoiły się, zaczął starać się o pracę. Miał z tym problem, bo ponownie odrzucił propozycję podpisania volkslisty. Gdziekolwiek się zwrócił, nikt nie chciał go zatrudnić. Na robotnika był za słaby. Zaczął handlować. Tryb życia prowadzony przez Mamę bardzo podkopał jej zdrowie. Kiedy położyła się do łóżka, zdawało nam się, że już nie będzie ratunku.

Wróciliśmy do Legionowa. Nigdzie nie było tak dobrze jak w domu.

Któregoś dnia Mela Zawadzka podała mi adres kobiety przebywającej w obozie koncentracyjnym. Raz w miesiącu wysyłałam jej dwukilogramowy bochenek chleba. Nie znałam tej kobiety, ale wiedziałam, że jest głodna i to mi wystarczało.

Na terenie Legionowa w kilku miejscach pojawiły się biało-czerwone chorągiewki. Zaczynało się coś dziać. Coraz więcej mówiło się o zaciemnianiu. Niemcy rzucili do sprzedaży ciemnoniebieskie żarówki i dużą ilość ciemnego kartonu na rolety do okien. Na szosie Modlin-Jabłonna-Warszawa całymi nocami dudniły transporty wojskowe składające się z czołgów, armat i innych rodzajów broni oraz z olbrzymiej liczby wozów amunicyjnych. Po torze kolejowym, który znajdował się bardzo blisko naszego domu, ciągnęły wagony załadowane ciężkim sprzętem.

Legionowo „nie zasypiało”. Na bocznicy kolejowej zniszczono niemiecki pociąg wiozący amunicję na front wschodni. Na szosie Jabłonna-Zegrze „ktoś” rozsypał stalowe gwoździe, które poprzebijały opony w samochodach z zaopatrzeniem.

W październiku 1941 roku spadło dużo śniegu. Potworzyły się ogromne zasy. Drzewa znajdujące się wokół domu uginały się pod ciężarem śniegu. Wiele gałęzi zostało połamanych. W Legionowie ukazało się rozporządzenie, że Żydzi, którzy bez zezwolenia opuszczą dzielnicę zamkniętą podlegającą karze śmierci. Ta sama sankcja groziła wszystkim, którzy udzieliliby im pomocy i schronienia.

Dwa razy w tygodniu Niemcy wyłączali w mieście energię elektryczną. Wtedy całe wieczory siedzieliśmy po ciemku. Nie można było kupić nafty, więc jedynym oświetleniem była albo niewielka świeczka, albo płomień z otwartego piecyka. Było wprawdzie bardzo przytulnie i nastrojowo, ale dosłownie nic nie można było zrobić. Co najwyżej jakieś ręczne, nieskomplikowane roboty na drutach.

Na froncie wschodnim hitlerowcy nadal odnosili sukcesy i chociaż do szpitala w Legionowie nadchodziły nowe transporty rannych, to jednak oni wciąż zwyciężali. Chwilami zaczynało nas ogarniać przerażenie: tam zwycięstwa – tu łapanek, aresztowania, egzekucje. Wtedy przywoływałam w pamięci „kręgi fal”. Kiedyś usłyszałam zdanie, że to bardzo dobrze, że się Niemcy tak rozlażą, bo tracą siły. Powiedziano mi: „Rzuć kamieniem o powierzchnię wody. Zobaczysz jakie wysokie są fale tych kręgów, które utworzyły się najbliżej miejsca uderzenia. Im dalej, tym fala niższa. Coraz niższa i słabsza, aż wreszcie zupełnie zanika. Tak będzie i z nimi skoro się rozlażą.”

W Warszawie są większe możliwości podtrzymywania siły psychicznej, pomimo częstszych aresztowań i łapanek. Cudu tego dokonują liczne napisy, takie jak: „Polska żyje”, „Polska zwycięży”, „Nie jesteśmy sami”. W Legionowie na Przystanku zabudowa jest rzadka. Napisów nie widać, bo właściciel posesji w obawie przed represjami natychmiast je ściera.

Z powodu braku węgla zawieszono naukę we wszystkich szkołach. Nadal wycinaliśmy las rosnący na naszej działce. Trzeba było czym palić w piecu, aby ugotować posiłek i jako tako ogrzać kuchnię, w której koncentrowało się nasze życie.

Niemcy stanęli pod Stalingradem. Już się nie „rozlazili”. Zbliżało się Boże Narodzenie. Pisałam coraz rzadziej i starałam się notować tylko najważniejsze wydarzenia. Do tych należały: cofanie się hitlerowców spod Moskwy i wypowiedzenie wojny Ameryce.

Styczeniowe mrozy 1942 roku dały się wszystkim we znaki. Szczególnie zaś tym, którzy przebywali w obozach koncentracyjnych i obozach pracy przymusowej. W Legionowie, w kinie „Bajka” (dziś nazywa się „Mazowsze”), ktoś wypłoszył świecą dymną wiernych kinomanów z projekcji filmu gloryfikującego zwycięstwa okupantów.

Wielka tajemnica – jestem w Armii Krajowej

Moja mama już od dłuższego czasu należała do „piątki” utworzonej przez panią Marię Sokołową, żonę kierownika szkoły w Olszewnicy. Mieszkała ona przy ulicy Kolejowej graniczącej z Chotomowem. W jej domu miałam złożyć przysięgę i wejść do nowo tworzonej „piątki”. Tu muszę dodać, że „piątki” składały się z kobiet pracujących w tej samej specjalizacji. Na przykład w sekcji gospodarczej

Wojskowej Służby Kobiet. W każdej piątce była tylko jedna osoba wyznaczona do kontaktów z innymi grupami.

Niestety, ze względu na wiek tym razem nie przyjęto mnie i kazano milczeć. Wysłałam i rozplakałam się jak małe dziecko. „Wyrzucili mnie jak szczeniaka. Nie wierzą mi” – myślałam.

Do dziś nie wiem, kto zaręczył za mnie. Czy pani Olszewska (imienia nie pamiętam), siostra pana Michała Olszewskiego, czy może pani Janina Szymańska, zamieszkała na Przystanku przy Alei Legionów róg ulicy Topolowej, która dobrze знаła „Jaworskiego” (pseudonim Bronisława Majchrzyka)? W każdym razie w marcu 1942 roku u mojej nauczycielki od łaciny pani Aliny Kornackiej, zamieszkałej w domu Chrostowskich przy ulicy Batorego 90 w Legionowie, powtarzałam słowa przysięgi:

„W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Królowej Korony Polskiej kładę rękę na ten krzyż, znak męki i zbawienia; przysięgam być wierną Ojczyźnie Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięciem na straży Jej honoru i o wyzwolenie z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza, wyznaczonemu przezeń dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszna, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkało”.

I wtedy usłyszałam:

„Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy Polski Walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny; obowiązkiem twoim będzie służyć z bronią w rękę. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą; zdrada jest karana śmiercią”.

Poczułam się wyróżniona, bo tylko ja jedna w tej chwili składałam przysięgę. Dla mnie jednej fatygowano się, aby ją ode mnie odebrać. Początkowo otrzymałam pseudonim „Ariadna”, który po pewnym czasie zmieniłam na „Adjana” (mój Ojciec miał na drugie imię Jan). Po złożeniu przysięgi przeszkolona zostałam jako sanitariuszka i łączniczka.

Zdrowie Taty poprawiło się. Zaczął prywatnie pracować, ale nienormalne jedzenie, brak właściwego odpoczynku i niewygody sprawiły, że rany na nogach odnowiły się. Nadto ciągle przeziębienia i zastrzyki przeciwko tyfusowi, do których Niemcy przymuszali Polaków, były powodem, że na całym ciele zaczęły się pojawiać ropiejące wrzody. Tym szczepieniem musiałam się poddać i ja. Bóg wie co mnie i innym ludziom aplikowali. Prawie wszyscy moi znajomi dostawali wrzodów, które „zbierały” piekielnie boląc, a potem pękały i lała się z nich ropa. Od tego czasu dostałam jakiegoś uczulenia. Wrzody się skończyły, ale całe ciało swędziało. Gdy się podrapałam natychmiast powstawała ranka, która nie chciała się goić. Kiedy już się wreszcie zagoiła, tworzył się w jej miejsce siny ślad. Rozmawiałam na ten temat ze swoimi znajomymi. Byliśmy pewni, że te zastrzyki są totalnym niszczeniem Polaków. W późniejszym okresie komórka AK zorganizowała dla zaufanych osób z terenu Legionowa tak zwane „lewe” świadectwa szczepień. Kiedy okupant zaczął żądać wykazów osób poddanych temu zabiegowi, a następnie delegował do akcji swoich przedstawicieli, podziemna Służba Zdrowia napełniała strzykawkę jakimś innym płynem.

W Legionowie mieszkało dużo Żydów, toteż opaski z Gwiazdą Dawida nie były rzadkością. Można by nawet powiedzieć, że z każdym dniem było ich coraz więcej. Ciągłe bowiem przybywali do Legionowa wysiedlani z województw wcielonych do Rzeszy. Niemcy chcąc wyłapać jak najwięcej Żydów ukrywających się w polskich domach, dokonywali coraz częściej rewizji. Przyłapanych rozstrzeliwano na miejscu. Od tej pory Mama stała się bardziej ostrożna. Dzieci przekradające się z getta nadal codziennie dostawały chleb, ale był on zawinięty w paczkę, którą kładliśmy na pokrywie śmietnika stojącego tuż koło płotu. Raz tylko Mama posłała mnie z zawiniątkiem, aby bezpośrednio do rąk prosiącej oddać chleb i coś z odzieży. Był wtedy bardzo zimny dzień. Przy parkanie od strony niezabudowanej działki stała młoda Żydówka z malutkim dzieckiem na ręku. Nie płakała. Patrzyła tylko dużymi, czarnymi oczyma, w których wyczytać można było ogrom jej nieszczęścia. Piękna to była kobieta. Tulila do ledwo odzianej piersi drobną kruszynę – swoje maleństwo. Nie zapomnę nigdy tego widoku. I choć lata zatarły rysy jej twarzy w mojej pamięci – niemą prośbę o chleb tej zaszczutej matki i jej dzieciny zapamiętałam na zawsze.

Po wakacjach kontynuowałam naukę w gimnazjum Anieli Wereckiej w budynku przy ulicy Krakowskie Przedmieście 55 w Warszawie. Istniało ono oficjalnie pod płaszczykiem szkoły krawieckiej. W związku z tym niektóre lekcje odbywały się na I piętrze (nad słynną apteką Wende’go). Były to: gimnastyka, rytmika, rysunki, roboty ręczne. Inne, jak nauka kroju i szycia, miałyśmy na Starym Mieście przy ulicy Bugaj. Łacinę, historię, geografiię i język polski wykładano w mieszkaniach prywatnych. Tak zwane komplety składały się z sześciu-ośmiu osób i zawsze odbywały się pod czujnym okiem właścicieli mieszkań i dozorców domów. W tym miejscu muszę podkreślić, że pewną część młodzieży z Legionowa umieszczano na tajnych kompletach w Warszawie. Kiedy delegatem Tajnej Organizacji Nauczycielskiej na terenie naszego miasta został pan Piotr Parol, kierownik szkoły nr 1, sprawa została uproszczona. Czynn timer włączyła się do tajnego nauczania profesorka języka polskiego i historii pani mgr Wanda Tomczyńska. Już wcześniej pracowała ona w TON – od momentu powołania tej organizacji

w październiku 1939 roku pani Tomczyńska jako pierwsza w Legionowie zorganizowała w swoim mieszkaniu przy ul. Jagiellońskiej 40 tajny komplet.

W latach 1943-1944 całokształtem konspiracyjnej pracy nauczycielskiej na terenie Legionowa kierował dyrektor gimnazjum pan Jerzy Śliwiński pseudonim „Dąb”. Prefektem w gimnazjum (oficjalnie zwanym Szkołą Handlową) był ksiądz Wacław Szelenbaum. Pełnił on również służbę duszpasterską w Armii Krajowej. Aresztowany przez Gestapo w 1944 roku, zginął podobno w Oświęcimiu. Niektórzy jednak twierdzili, że został rozstrzelany w koszarach na terenie Legionowa.

W mieście wydane zostało zarządzenie władz okupacyjnych, że metalowe ogrodzenia wszystkich posesji winny być rozebrane, a złom dostarczony na wyznaczony plac. Zaraz potem podano do wiadomości aptekarzy zakaz sprzedaży bez recepty jakichkolwiek materiałów opatrunkowych i niektórych lekarstw. Od tego momentu coraz trudniejsze stało się zaopatrywanie naszych konspiracyjnych punktów sanitarnych.

W związku z nowym zarządzeniem w sprawie zmiany polskiego nazewnictwa ulic na niemieckie – ulica Modlińska w Jabłonnii otrzymała miano Ostseestrasse. Wszyscy Polacy operowali nadal naszymi nazwami. Gdy jakiś Niemiec zapytał o jakąś tam „...strasse” – wzruszali ramionami i odpowiadali „nie wiem”.

Któregoś dnia zdarzył się przykry wypadek. Byłam sama w mieszkaniu. Dom był obszerny. Parter wykończono, natomiast I piętro jeszcze nie i stanowiło ono duży strych. Na tym strychu za rynną Mama trzymała „materiały”. Za inną rynną, pod cegłami, była moja skrytka. Tego dnia usłyszałam nagle szamotaninę się z furtką ogrodzenia i zanim zdążyłam wyjść na podwórko już w sieni znalazł się Niemiec z przygotowanym do strzału pistoletem oraz „granatowy” policjant. Prawie pędem przebiegli przez wszystkie pomieszczenia na parterze, pytając gdzie znajduje się poszukiwany przez nich mężczyzna. Czując lufę pistoletu między łopatkami i myśląc o strychu nie umiałam nic odpowiedzieć. Niemiec wciąż popychając mnie przed sobą kazał mi wejść na górę. Kiedy zobaczył tam stertę suszonych na opał gałęzi, nakazał je rozrzucić. Widocznie robiłam to zbyt wolno, bo nagle odepchnął mnie pod ścianę. Z bronią gotową do strzału zbliżył się do gałęzi. Powiedziałam, że tam nikogo nie ma. Widocznie dobrze rozumiał po polsku, bo popatrzył na mnie. Poprowadził mnie przed sobą na parter, gdzie czuwał policjant. Ten znów dopytywał się o jakiegoś mężczyznę. Kiedy powiedziałam, że tu nikogo nie ma, wymierzył mi potężny policzek. W końcu zostawili mnie samą, policjant bowiem stwierdził, że to chyba nie ten dom i chyba się pomylili. Tak, pomylili się, ale w czasie, bo przed paroma godzinami był u nas człowiek, którego prawdopodobnie szukali. Zdążył jednak wcześniej opuścić mieszkanie. Dowiedziałam się, że tym policjantem wysługującym się Niemcom był Kukurek, który pracował dla nich tak gorliwie, że po Legionowie zaczął krążyć wierszyk: „Tam gdzie górka (cmentarz na górcie) – tam jest miejsce dla Kukurka”.

Któregoś dnia ukazało się nowe rozporządzenie. Kontroli i konfiskacie podlegały odtąd: żyto, jęczmień, pszenica, owies i ich przetwory oraz groch, fasola, masło, bydło, świny, owce, przetwory mięsne, a także tytoń i ziemniaki. Ludzie zastanawiali się, co od tej pory będą jedli, bo ograniczeniu poddano praktycznie wszystko.

Kiedyś jadąc do szkoły zauważyłam wśród pasażerów ogromne poruszenie. Dojeżdżaliśmy właśnie do Dworca Warszawa-Praga, gdy dowiedziałam się, że Dworzec Gdański obstawiony został przez żandarmerię. Jednym słowem – łapanka. Pociąg natychmiast opustoszał. Ja również uciekałam poprzez tory kolejowe w kierunku Gimnazjum Lisa-Kuli. Po drodze dowiedziałam się, że Niemcy obstawili też przejście podziemne i przejazd pod torami przy ul. 11 Listopada i teraz zbliżają się do Dworca Warszawa-Praga. Ktoś ostrzegł, że „budy” z żandarmerią zdążają w stronę gimnazjum. Ludzie biegli do bramy cmentarnej i chronili się na Cmentarzu Bródnowskim. Nie namyślając się podążyłam za nimi. Weszłam w głąb cmentarza. Postanowiłam tam przeczekać łapankę. W tym czasie niebo zachmurzyło się i zaczął kropić deszcz, który wkrótce przeszedł w ulewę. Przemoczona do suchej nitki przez trzy godziny siedziałam między grobami, a przy murze stały niemieckie „budy”. Wreszcie odjechali. Wróciłam na dworzec kolejowy. W takim stanie nie było sensu jechać do centrum Warszawy. Zresztą i tam tego dnia było mnóstwo żandarmerii. W pobliżu dworca praskiego doczekałam aż do momentu nadjechania pociągu w kierunku Nasielska. Po czterdziestu pięciu minutach wysiadłam na stacji Legionowo Przystanek i wróciłam do domu. Następnego dnia przestałam mówić. Byłam bardzo chora.

„Przeciaki” powiedziały mi, że niektórzy ze znajomych mi chłopców są szkoleni. Szkoleni? Początkowo nie rozumiałam tego słowa. Aż nagle olśnienie – podziemne Wojsko Polskie!

Miałam już za sobą pełne przeszkolenie sanitariuszki. Wymagano ode mnie nie tylko umiejętności opatrywania rany oryginalnymi tamponami, ale także wykonywania opatrunku zastępczego (nawet z pergaminowego papieru), a ponadto robienia zastrzyków domięśniowych, podskórnych i dożylnych. Coraz częściej bywałam w konspiracyjnym punkcie sanitarnym, mieszczącym się przy ulicy Batorego 52 w pobliżu Kościelnej, prowadzonym przez pana Anatola Bryka. Stał tam wówczas w głębi ogrodu mały, biały, parterowy budynek. Tam właśnie mieścił się nasz punkt.

Coraz więcej trzeba było środków opatrunkowych i leków. Kupowałyśmy je z Mamą. Oprócz nas czyniły to także pani Helena Strzelecka, Cecylia Strzelecka-Kozłowska oraz obydwie siostry Chrostowskie – Weronika i Róża. Zakupione materiały nosiłam do pani Wandy Dobrzyckiej „Muchy”, mieszkającej przy ulicy Kolejowej. Pani Dobrzycka była pielęgniarką, która w „piątce” mojej Mamy prowadziła szkolenie sanitarne.

Gmina w Legionowie zarządziła, aby właściciele wszystkich domów znajdujących się na jej terenie, przedłożyli księgi meldunkowe do okresowych kontroli.

Pewnego dnia przyjechała Krysia Rosińska – ta, która razem ze swoimi rodzicami oraz siostrami Danka i Teresą mieszkała u nas w czasie przedwojennych wakacji. Wspominałyśmy, jakie to były wspaniałe wakacje. Krysia, Danka i Teresa Rosińskie, Romek Walewski, Jurek, Zdziś i Staś Osiańczowie i ja chodziliśmy na „wyprawy terenoznawcze” do lasów hrabiego Grochulskiego. Pamiętaliśmy jedną z takich wypraw. Prowadził ją wówczas Romek, który w pewnym momencie zabłądził i musieliśmy grzęznąć w bagienku, aby przedostać się na drugą stronę. Podczas tej przeprawy Krysia straciła w bucie obcas, więc zaistniała konieczność oderwania go także w drugim bucie. Tym zajęli się starsi chłopcy, to znaczy Romek i Jurek. Piękne, białe pantofelki Krysi – oblepione błotem, z poobrywanymi obcasami – były nie do poznania. To były jednak najszczęśliwsze lata...

Siedziałyśmy przy otwartych drzwiczkach pieca. Ogień trząsał wesoło i dawał przyjemne ciepło. Było nam dobrze i przytulnie. Po prostu zapomniłyśmy na chwilę o smutnej rzeczywistości. Teraz wieczory były długie, ciche i ciemne. Elektrownia wyłączała prąd aż trzy razy w tygodniu, albo nawet i codziennie, w zależności od humorów „naszych panów”. Wtedy właśnie był taki wieczór. W pewnym momencie dłuższe milczenie przerwała Krysia, przyciszonym głosem recytując przejmujący wiersz. Gdy skończyła pochyliłam głowę. Zapanowała martwa cisza. Słysząc było tylko trzask ognia. Mama podniosła do oczu chusteczkę...

Następnego dnia rano Krysia wyjechała do Warszawy. Od tej pory widziałam ją przelotnie tylko jeden raz w życiu. Przyznała mi się, że razem z Romkiem przenosili broń. Prosiła, abym o tym nikomu nie mówiła, a także, abym nie wspominała, że ją widziałam.

„Nowy Kurier Warszawski” z dnia 4 lutego 1943 roku został natychmiast rozchwytyany. Po raz pierwszy chyba ta „gadinówka” miała takie powodzenie wśród Polaków. Przyczyną tego było to, że – chociaż w sposób zakamuflowany, jednak oficjalnie – podano do wiadomości, iż hitlerowcy pod Stalingradem dostali w skórę. Na murach natychmiast pojawiło się „Kaput”. Stało się to jedną z przyczyn, że na dworcach kolejowych prowadzono ciągle rewizje ludzi i bagażu. Niemcy nie przepuszczali żadnego przyjeżdżającego do Warszawy pociągu. Byłam świadkiem strasznego pobicia jakiegoś staruszka, który wiozł parę kilogramów mięsa. Widziałam również posiniaczone dziecko, które wiozło trzy litry oleju. Nie mogłam na to patrzeć.

W szkole dało się odczuć ogromne poruszenie. Niemcy zabrali do wglądu dzienniki klasowe. Mówiono, że w celu skierowania młodzieży do pracy (roczniki 1925-1926).

Na murach, tablicach ogłoszeń i parkanach ukazywało się coraz więcej czerwonych plakatów, na których widniały nazwiska rozstrzeliwanych osób. Ostrzegano nas, że wśród czytających afisze są i tacy, którzy bacznie obserwują zachowanie innych. Często za płaczącą osobą idą krok w krok, aby ustalić jej kontakty. Staraliśmy się więc albo tak panować nad sobą, jakby nas to wcale nie obchodziło, albo nie czytać. Po co się mieli nami interesować?

Wracając kiedyś ze szkoły zobaczyłam koncentrujące się przy bramie getta duże oddziały wojska i policji, wzmocnione czołgiem i dwoma wozami pancernymi. Nie wróżyło to nic dobrego. Wobec takiego stanu rzeczy Żydowska Rada Starszych dała sygnał do rozpoczęcia powstania w warszawskim getcie. Dlatego od tamtej pory nie wolno było przechodzić i przejeżdżać ulicą Bonifraterską. Tramwaje jadące w kierunku Żoliborza dochodziły tylko do Placu Krasińskich. Dalej trzeba było iść pieszo ulicami Franciszkańską, Zakroczymską i zapleczem ulicy Konwiktorskiej, aż do wiaduktu Dworca Gdańskiego.

Płonące getto wzbudzało podziw, szacunek i litość. Widać było jak z podpalanych przez Niemców domów wydobywają się kłęby ognia i dymu, który dusił nas nawet tu – po stronie aryjskiej. Wielu ludzi płonęło tam żywcem. Oszaleli z trwogi i bólu zdawali się nie wiedzieć co czynią. Widać było stojące na najwyższych piętrach kobiety, które wrzucały w ogień dzieci, a potem same skakały w płomień. Tego nie da się opisać.

Wiedziałam, że niektórzy moi znajomi i szkolni koledzy wymykają się na noc lub o świcie do lasu. Z reguły w niedzielę nie mieli na nic czasu, bo spali. Nie pytałam ich jednak o nic – tak było lepiej dla nich i dla mnie. Kiedyś przypuszczałam, a później wiedziałam już na pewno, że w Legionowie prowadzone są systematyczne kursy szkoleniowe – turnusy przygotowujące chłopców do przyszłych zadań bojowych. Intrygowało mnie, kto stoi na czele. Czy jest to człowiek samotny czy ma rodzinę, którą ustawicznie naraża dla dobra „sprawy”. Często padały słowa używane w konspiracji, takie jak: „Jajka”, „pestki” itp. Na początku mojej pracy podziemnej nie wiedziałam o czym chłopcy mówili. Później dowiedziałam się, że „pluć pestkami” to znaczy strzelać, a „rzucić jajkiem” to rzucić granatem.

Na terenie Legionowa i okolic wciąż wzmagała się walka z okupantem i jego służalcami. Zabito trzech konfidentów Gestapo, zamieszkałych w Legionowie Przystanku, a potem w akcji „Wróżki” dwie konfidentki z Wieliszewa. To samo zrobiono z jednym mieszkańcem Choszczówki. W budynku Gminy w Jabłonnie odbito więźnia, a w Arbeitsamcie w Buchniku koło Jabłonnę zniszczono spisy przeznaczonych na wywiezienie do Rzeszy.

Przy ulicy Piłsudskiego wybudowano nowy kościół, w którym wprowadzona została pewna innowacja. Mianowicie msze święte odprawiane były w języku polskim. Mówiono, że jest to kościół narodowy. Wśród pewnych kół w Legionowie rozległy się protesty. Mówiono, że msze powinny być odprawiane tak jak dotychczas, czyli po łacinie. Duża część wiernych bojkutowała wręcz ten kościół i ostentacyjnie chodziła do innego – „na górce”. Ulica Bukowa, przy której znajdował się dom moich Rodziców, położona była w pobliżu pogranicza III parceli Legionowa z Chotomowem. Administracyjnie przypisana była do Legionowa, a parafialnie do Chotomowa. W związku z tym, że do Chotomowa mieliśmy bliżej, właśnie tam chodziliśmy na msze. Proboszczem był naówczas ksiądz Mieczysław Królak, człowiek w podeszłym wieku, dobrotliwy, o łagodnym usposobieniu.

Legionowo miało własny nasłuch radiowy i pokusiło się o wydawanie własnej lokalnej prasy konspiracyjnej. Rozprowadzało się ją po mieście i w okolicy. Dwa razy w tygodniu ukazywała się „Reduta”, którą ludność dosłownie rozchwytywała i ukrywała jak największy skarb. I chociaż hitlerowcy za druk i kolportaż, a nawet za samo czytanie karali śmiercią, wydawcy nie przerywali swojej niebezpiecznej pracy. Obok „Reduty” zaczęto rozprowadzać specjalny dodatek, tak zwany „Dodatek Literacki”. Przeznaczony był dla dorosłych. Dla młodzieży była „Drużyna”. Z czasem pojawiły się też „Enki” – pisma i ulotki o charakterze dywersyjnym, wydawane w języku niemieckim. Przeznaczone były dla żołnierzy niemieckich. Polacy należący do podziemia, a pracujący w koszarach, starali się rozrzucać te ulotki wśród żołnierzy Wehrmachtu i rannych przebywających w tamtejszym szpitalu. Redaktorami tych wszystkich pism byli państwo Mieczysław i Janina Smerekowie. Pan Mieczysław Smerek, używający pseudonimów „Czcibor” i „Żmija”, brał udział w obronie Lwowa, gdzie stracił prawą rękę. Uczestniczył też w Powstaniu Śląskim. Od godziny „W” był ochotniczym adiutantem dowódcy I batalionu „Znicza” – Bolesława Szymkiewicza. Walczył we wszystkich bitwach powstańczych na terenie Legionowa i okolic oraz w Puszczy Kampinoskiej. Po klęsce jego oddziałów pod Jaktorowem przebieł się z grupą żołnierzy AK w rejon Gór Świętokrzyskich, gdzie do 11 października 1944 roku dowodził grupą rozbitków.

W dniu 15 września 1943 roku na łąkach koło Izabelina zorganizowano zrzutowisko nazwane „Koc”. Była to duża leśna polana, na której przygotowano wysokie sterty gałęzi i słomy. Miały być one zapalone w nocy z 15 na 16 września na odgłos zbliżających się o wyznaczonej godzinie samolotów alianckich. Nie wiedziałam wówczas, że akcją tę zabezpieczało ponad osiemdziesięciu żołnierzy 9 kompanii III batalionu pod dowództwem por. Bronisława Tokaja ps. „Bogdan”. Zrzut zasobników z bronią, amunicją i innym wyposażeniem został przyjęty wraz z trzema skoczkami (tak zwanymi „cichociemnymi”). Cały odebrany sprzęt ukryto na torfowiskach wsi Izabelin koło Nieporętu. Broń została rozdzielona na poszczególne bataliony I Rejonu „Obroży”. Przydział dla I batalionu miał być przetransportowany na teren Bukowca. Podczas tej akcji w ręce hitlerowców wpadli Jerzy Dąbrowski ps. „Lato” i Jan Majewski ps. „Warta”. Obaj zostali rozstrzelani. Z kolei przy przewożeniu broni przez II batalion (jabłonowski), natknięto się na Niemców koło wsi Stanisławów (przy szosie Legionowo-Struga). Wywiązała się strzelanina, podczas której w obronie transportu polegli: Stanisław Felicki ps. „Skiba” i Mieczysław Stepnowski ps. „Alfa”. Po ekshumacji ciał zostali pochowani na cmentarzu w Jabłonnie.

20 października 1943 roku jak zwykle wracałam ze szkoły do Legionowa. Szłam na Dworzec Gdański. Stacja była zupełnie pusta. Zastanawiało mnie to, gdyż nadchodziła godzina odjazdu pociągu do Nasielska. Po paru minutach sprawa się wyjaśniła. Było tak: Niemcy wpadli na dworzec. Nie pozwolili nikomu z czekających w poczekalni pasażerów zbliżyć się do okien i drzwi. Wszyscy struchleli, myśląc że to łapanka. Tymczasem pod nasyp wiaduktu zajechała „buda” z żandarmami i wyprowadzono z niej dwudziestu ludzi. Mieli zawiązane oczy i zalepione gipsem usta. Ustawiono ich pod wałem i rozległa się seria z karabinów maszynowych. Po pewnym czasie załadowano do samochodu ciała pomordowanych i Niemcy odjechali. Wtedy pasażerowie, w obawie przed powrotem żandarmów, zaczęli dyskretnie wymykać się z poczekalni. Ja przyszedłam właśnie wtedy, gdy prawie wszyscy ją opuścili.

W Legionowie podpalony został tartak, który pracował na potrzeby hitlerowców. Ogień zniszczył całe wyposażenie, surowiec i gotowe wyroby. Płonął całą noc, rozświetlając niebo ogromną luną. W miejscowym szpitalu zastrzelono kolaboranta z Choszczówki.

Dzień 11 listopada 1943 roku wstał spowity mgłą. Już od najwcześniejszego ranka ciężkie chmury przesłaniały niebo. Było jeszcze ciemno, ale od paru godzin nikt nie spał. Wszyscy myśleli tylko o tym, co może być powodem strzałów. Mama drżała chodząc po mieszkaniu i starała się cokolwiek wywnioskować z tej tajemniczej sytuacji. Wreszcie około godziny piątej z narażeniem życia wyszła na podwórko.

Przed chwilą bowiem dał się słyszeć odgłos strzału i w ułamek sekundy potem krzyk kobiety. Okazała się nią pani Helena Walewska, która miała przestrzeloną prawą rękę. Zrobiło to na nas straszliwe wrażenie. Widok Niemców stojących na torze kolejowym utwierdził nas w przekonaniu, że to oblawa. O ucieczce nie było mowy. W pół godziny później przyszedli i wyciągnęli nas z domu. Nie pomógł płacz brata, ani prośby Mamy. Zabrano Ojca i mnie. Kiedy wychodziłam spojrziałam na Wiesia – nie pozwolono nam się pożegnać. Do dziś tkwi mi w oczach scena, jak stał w łóżeczku w koszulce i płacząc prosił, żeby nas nie zabierano. Nic nie pomogło. Zabrano nas i dołączono do olbrzymiej grupy osób wyciągniętych prosto z łóżek. Niektóre kobiety były tylko w szlafrokach, bo nie pozwolono im się ubrać. Na pustym placu u zbiegu ulic Kolejowej i Sosnowej trzymano nas ze dwie godziny. Później poprowadzono do stacji kolejowej Legionowo Przystanek i ustawiono na placu w pobliżu skrzyżowania Kolejowej z Targową. Tam znów postój i oczekiwanie na kierownika Urzędu Pracy oraz jeszcze jakies „fiszki”. Wreszcie raczyli przyjechać. Nastąpiło legitymowanie. Byłam dziwnie spokojna, a właściwie jakaś odrętwiała na to wszystko. Jednakże widok Mamy, którą przyprowadzono z następną partią ludzi, poruszył mnie do głębi. W jednej minucie przemknęło mi przez głowę tysiące myśli. Przede wszystkim zaś ta, że mój mały braciszek został sam jeden wśród w większości pijanego żołdactwa. Jakże on się musiał bać... A co się działo w sercu mojej biednej Matki?

Legitymowanie trwało. Wreszcie przyszła kolej i na mnie. Szanowny pan Klemp – kierownik Arbeitsamtu w Legionowie, raczył spojrzeć na mnie i wskazać ręką prawą stronę. Moim jedynym marzeniem było zwolnienie Mamy. Drżałam czekając wyroku Klempa. O Boże, co to za szczęście! Mama została odsunięta na lewo, to znaczy do domu. Nic mnie już teraz nie obchodziło. Widziałam tylko Jej zapłakane oczy.

Po paru godzinach poprowadzono nas dalej, a potem umieszczono w towarowych wagonach i zawieziono na Skaryszewską. Otworzyła się ciężka, żelazna brama, potem druga... Obie zatrzasnęły się za nami, by wypuścić tylko bardzo chorych lub grubo opłaconych. Takich osób jednak było niewiele.

Nasz pobyt na Skaryszewskiej zaczął się od „mykwy”, czyli kąpieli w pomieszczeniu o wielu wspólnych prysznicach. Następnie zaprowadzono nas do przygotowanych pomieszczeń, które dawniej były klasami szkolnymi. Teraz wypełnione były piętrowymi pryzkami, na których nie było nawet sienników – tylko gołe, żelazne kratki. Pomyślano również o naszym zdrowiu, a ściślej o dostępie świeżego powietrza – okna nie miały szyb. W takich warunkach przedzemałyśmy noc, budząc się co chwila z zimna i niewygody. Wreszcie nadszedł ranek. Zbliżała się komisja lekarska. Na badania szłyśmy bez żadnego okrycia. Podchodziliśmy po kolei do lekarzy, a ci nas badali. Po komisji szorowanie podłóg, a potem przelotnie i w tajemnicy podany wynik – jadę na drugą komisję lekarską. Nie podobają im się widocznie moje zapłakane oczy. Posądzają mnie o jaglicę, a że jest to choroba zakaźna, więc... Trzeba ich utwierdzić w tym przekonaniu. Co robić? Koleżanka niedoli poprosiła jakiegoś mężczyznę o papierosa i udawała, że pali. Kiedy mężczyzna odwrócił się, zgasiła papierosa ze słowami „to na później”. Mam tytoń... Według rady – trochę pod powieki. Zacerwienię się. Objawy jaglicy gotowe.

„Paczka” składająca się z kilkunastu osób pod wzmocnionym konwojem powędrowała do samochodu. Wsiadaliśmy pojedynczo. Wolno nam było tylko klęczeć na podłodze skrzyni wozu. Nad naszymi głowami lufy „durszlaków” (lekkie karabiny maszynowe). Zawieziono nas ' do szpitala przy ul. Czerniakowskiej. Znów komisja. Przyszła kolej na mnie. Lekarz z Ubezpieczalni Społecznej zadał mi pytanie:

– Czy pani chorowała kiedyś na jaglicę?.

Zaczęłam kłamać mówiąc:

– Nie pamiętam panie doktorze, czy była to jaglica. Wiem tylko, że przez dosyć długi czas bolały mnie oczy i Mamusia bardzo często chodziła ze mną do lekarza.

– No, zobaczmy – mruknął mój rozmówca i zaczął badać mnie badać.

– Niech pani nie płacze – powiedział po chwili nieco łagodniej – bo nie mogę nic zobaczyć przez te pani łzy.

– Dobrze – odpowiedziałam, lecz łzy same płynęły dalej.

Badanie zakończone. Jak pijana wyszłam z gabinetu. Wokół siebie słyszałam: „No i co? No i co?...”. Ale ja nic nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że w tej chwili muszę solidnie płakać, bo to mi sprawiało ulgę.

Wszyscy zostali przebadani. Od eskortującego nas policjanta dowiedzieliśmy się w tajemnicy, że wszyscy zostaliśmy zwolnieni.

Wróciliśmy na Skaryszewską. Tu, o zgrozo, okazało się, że nasza radość ze zwolnienia była przedwczesna. Mamy stanąć na trzecią komisję lekarską i ta dopiero ostatecznie zdecyduje o naszym dalszym losie.

Wracając na swoją pryczę spostrzegłam, że mam jakąś sublokatorkę. Zaczęłyśmy rozmawiać. Po pewnym czasie weszła „salowa” i wywołała moje nazwisko. Zrobiło się wielkie poruszenie. Wszystkie kobiety cisnęły się do mnie z jakąś prośbą czy poleceniem. Uważały mnie za wybrankę losu. Ja jednak

nie dowierzałam temu, abym mogła wydostać się poza mury więzienia. A jednak – zwolniono mnie jako chorą na zakaźną chorobę oczu – jaglicę.

Wróciłam do domu. Do szkoły już nie chodziłam. Mama była bardzo chora na serce. Stan Jej zdrowia ostatnio znacznie się pogorszył. Poczułam się odtąd zupełnie dorosłą osobą, odpowiedzialną za moją rodzinę.

Mama poprzez Związek Inwalidów Wojennych poczyniła starania o powrót Taty z obozu w Niemczech. Początkowo Urząd Zatrudnienia (Arbeitsamt) zgodził się na jego zwolnienie, ale pod warunkiem wymiany. Oświadczone, że Ojciec wróci, jeżeli ktoś inny wyjedzie za niego do Rzeszy. Po wielkich targach kierownik Arbeitsamtu zgodził się na zwolnienie bez zastępstwa, jednakże pod warunkiem, że niemiecki lekarz stwierdzi niezdolność Mamy i moją do pracy.

– Niech córka pracuje – powiedział. – Ale pamiętajcie, że jeśli lekarz stwierdzi, że matka albo córka są zdolne do pracy, córka za karę zostanie wysłana do Niemiec.

Cofnąć się zatem już nie było można. Miałyśmy razem z Mamą stanąć na komisję. Mama uzyskała zwolnienie, ale ja?

– E, ja bym tam zaraz dostała zwolnienie – powiedziała wszystko wiedząca sąsiadka. – Dziesięć „kogutków” (proszków od bólu głowy) wystarczy.

– Jak to? – zapytałam.

– Po prostu. Łyknij pani dziesięć proszków i bicie serca gotowe. Zwolnią panią jak „ta lala”.

Długo w nocy myślałam. Dziesięć proszków... Mogą poważnie zaszkodzić. Ale oczywiście nie ma innego wyjścia z sytuacji. Tata musi wrócić, a ja wyjechać nie mogę. Mama nie może wiedzieć o tych proszkach. W ostatniej chwili do tych dziesięciu dołożyłam sobie jeszcze parę. Zwolnili nas obydwie, ale ja przez tydzień nie mogłam podnieść się z łóżka. Ogromny bezwład opanował całe moje ciało. Siadałam na łóżku tylko przy czyjejs pomocy. To była męka. Przez cały tydzień najmniejsza ilość pokarmu, a nawet płynu powodowała torsje. Wreszcie wszystko minęło. Zaczęłam powoli stawiać pierwsze kroki. Miałam wrażenie, że po raz pierwszy w życiu uczę się chodzić.

Coraz trudniejsze stawało się życie w okupowanym kraju. Nie było co jeść, nie było czym palić. O kupieniu węgla nie było nawet mowy, zresztą i tak nie było za co. Głód i nędra coraz częściej gościły w naszym domu, bo Matczyne ręce nie były w stanie zapracować na troje ludzi. Znow zaczęliśmy wycinać na działce wszystkie brzozy, bo brzezina nawet mokra pali się dosyć dobrze i daje nieco ciepła.

Któregoś dnia sąsiadka powiedziała, że w nocy lub nad ranem kolejarze zrzucają z parowozów węgiel i że można od nich bezpośrednio trochę kupić. Słyszeliśmy nieraz, że parowozy zatrzymywały się naprzeciwko naszego domu, ale nie wiedzieliśmy w jakim celu. Rzeczywiście po każdym takim zatrzymaniu się, kiedy wczesnym rankiem wychodziliśmy na tory, można było uzbierać trochę drobnego węgla. Nieraz ta odrobina stanowiła jedyną radość przeżytego dnia. Później Mama zaczęła kupować. Czasem kupowała pół worka, czasem cały, ale zawsze był on na wagę złota.

W Legionowie raz po raz ukazywały się plakaty z nazwiskami osób rozstrzelanych lub wziętych jako zakładnicy. Wzmógł się terror okupanta. Dokonywano coraz liczniejszych aresztowań. Na stacjach kolejowych zwiększono liczbę posterunków żandarmerii. Na Dworcu Gdańskim Niemcy uważniej przyglądali się każdemu pasażerowi. Częściej też przeprowadzali rewizje bagaży i osobiste. Na froncie wschodnim nie było im wesoło, a w Generalnej Guberni toczyła się „bitwa o szyny”. Coraz więcej transportów wylatywało w powietrze; mniej pasażerów dawało się złapać. Niemcy starali się zniemacka zajechać „budami” na stację kolejową Warszawa-Gdańska lub Warszawa-Praga, aby wygarnąć ludzi wprost z pociągów. Z czasem jednak stawało się to dla nich trudniejsze. Kolejarze bowiem zorganizowali cały system ostrzegawczy i niejednokrotnie zatrzymywali pod semaforem na Annopolu pociągi zdążające do Warszawy-Pragi. Wówczas pasażerowie nie posiadający tak zwanych „murowanych” ausweisów tłumnie opuszczali wagony, udając się w kierunku osiedla robotniczego, a potem do pętli tramwajowej. Podczas takiego przymusowego przystanku i ja wraz z grupą ludzi wysiadłam kiedyś z pociągu. Zaczęliśmy biec w stronę domków na osiedlu. W tym czasie odezwały się z pociągu pojedyncze strzały i parę osób upadło.

Na trasie „ciuchci”, o której już pisałam, nie było lepiej. Przed stacją Wiśniewo znajdowała się stacyjka Piekiełko. I tu też niejednokrotnie zdarzało się prawdziwe piekło, stwarzane Polakom przez żandarmerię niemiecką. Dlatego właśnie tam zabito żandarma, który wyróżniał się spośród innych wyjątkowym bestialstwem.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Już czwarte w okupowanym kraju. Otrzymaliśmy wiadomość od Taty, że przeniesiono Go do lepszej pracy. Serdecznie się z tego ucieszyliśmy. Skromną Wigilię spędziliśmy we trójkę, a potem Mama i Wiesio poszli do państwa Sokołów, którzy pod groźbą „ogromnego gniewu” skłonili Mamę do przyścia z nami na kolację. Nie chciało mi się w taki dzień wychodzić z domu. Zostałam. Usiadłam koło ciepłego pieca, przymknęłam oczy i oddałam się rozkoszynom marzeniom. Marzyłam o końcu wojny, o powrocie Ojca. Myślałam – Tata zacznie pracować, ja skończę szkołę średnią i pójdę na medycynę. Znow będę się uczyła grać. Może wstąpię do Konserwatorium?

Nadszedł nowy rok 1944. Przez cały czas skupowaliśmy leki i materiały opatrunkowe i przekazywaliśmy pani Dobrzyckiej albo panu Brykowi. Chodziłam do Chotomowa do pani Aliny Drewnikówny i po terenie Łajski. Niejednokrotnie zaglądałam do domu państwa Gołębiewskich przy ulicy Kruczej 72. Tam bowiem odbywały się szkolenia wojskowe dla młodzieży męskiej.

Pan Sumiński (ojciec mojego szkolnego kolegi) opowiadał o strasznych chwilach, które przeżył podczas przewożenia broni samochodem strażackim z Warszawy do Legionowa. Na szosie warszawsko-jabłonowskiej maszyna zepsuła się. Mijający ich Niemcy śmiali się z nieudolności polskiej straży pożarnej. Niektórzy zatrzymywali się i oglądali wóz. Po pewnym czasie jakiś niemiecki samochód ciężarowy wziął go na hol i przyciągnął na dziedzinie SP w Legionowie.

Coraz częściej w pociągach na trasie Legionowo-Warszawa pojawiali się zebrańcy o wsparcie. Potem dołączyli do nich zarabiający muzyką i śpiewem. Zaczęło się od „Posłuchajcie ludzie smutnej opowieści, co ja wam opowiem w głowie się nie mieści. Dnia pierwszego września roku pamiętnego wróg napadł na Polskę z kraju niemieckiego...” lub „Gdy w noc wrześniową pół, eskadr bombowych ogromna moc z szumem motorów się pojawiła, w piekło zmieniła cichą noc...”. Tak śpiewano w latach 1939-1940. Potem w pociągach dały się słyszeć skoczniejsze melodie, które wywoływały uśmiech na twarzach słuchaczy. Były to: „Siekiera, motyka, styczeń, luty Hitler z Duceм gubią buty...” czy też – „Na dworze jest mrok, w pociągu jest tłok, zaczyna się więc sielanka. On objął ją w pół, ona gruba, jak wół, bo pod paltem schowana rąbanka...”. Tak śpiewano w 1942 roku. W późniejszych latach słyszeliśmy piosenki ze słowami nawiązującymi do nadchodzących wydarzeń. Były one pełne nadziei: „Już od niedawna jak miesiąc długi, codziennie każdego ranka jadą pociągi jeden za drugim, a w każdym świeża rąbanka”. Ta „rąbanka” oznaczała rannych żołnierzy niemieckich przywożonych z frontu wschodniego. Słyszało się też takie teksty: „Ze wszystkich frontów Szwaby uciekają, sojusznicy wielką siłą nacierają. Kończy się kariera Adolfa Hitlera. Hej kołeda, kołeda”. Toteż nic dziwnego, że Niemcom było tego wszystkiego za dużo. Dlatego ukazało się rozporządzenie zabraniające „nielegalnego handlu i popisów muzycznych w pociągach, poczekalniach dworcowych i innych terenach kolejowych”. „Handlarzy i muzykantów należy zatrzymywać i karać w myśl przepisów policyjno-kolejowych oraz usuwać z terenu kolei” – podawał Dziennik Służbowy Warszawskich Kolei (nr 59 z 1943 roku). Od tej pory zaczęła się formalna nagonka na wszystkich śpiewaków. Mówiono, że są złodziejami, a tych należy tępić. Nie pomogły jednak ani zarządzenia, ani łapanki organizowane na śpiewaków. Piosenki te przetrwały do końca okupacji.

Po Legionowie i okolicy znów zaczął częściej krążyć samochód osobowy z zasłoniętymi oknami. Niemcy patrolowali teren w poszukiwaniu radiostacji. Irena Kazanecka, pracująca w Wytwórni Papierów Wartościowych w Warszawie powiedziała mi, że hitlerowcy rozpoczęli demontaż maszyn i urządzeń i zamierzają je wywieźć do Rzeszy.

Pojawiły się pierścionki z masy plastycznej. Wykonane były z rączek od szczoteczki do zębów. Zamiast oczek posiadały tarcze. Górna była biała, dolna – czerwona. Na tle narodowych barw widniał orzeł. Tęskniliśmy za widokiem tego symbolu narodu polskiego.

Przed samą Wielkanocą na Przystanku zastrzelono „Babę Jagę”. Tak nazywano jedną z tamtejszych mieszanek ze względu na jej kłótlivy i złośliwy charakter. Parę miesięcy wcześniej aresztowano jej córkę Jadwigę. „Baba Jaga” odgrażała się publicznie chłopcom, że ich wszystkich sypnie, jeżeli nie odbiją Jadwigi. I podobno była do tego zdolna.

W tym samym czasie przygotowano nowe zrzutowisko pod kryptonimem „Stolnica”. Znajdowało się ono w lesie koło wsi Białej i Rejentówki pod Radzyminem. Była to duża leśna polana, na której przygotowano wysokie sterty gałęzi i słomy. Miały być one zapalone w nocy 9 kwietnia 1944 roku na odgłos samolotów alianckich. Dowódcą tej akcji był por. Zygmunt Mirecki ps. „Zim”. Zrzutu jednak nie było.

W Legionowie już parokrotnie zniszczone zostały spisy osób przeznaczonych na wywiezienie do Niemiec. Zniszczono również wykazy nałożonych kontyngentów. Na Przystanku rozbrojono strażników kolejowych.

Przy Sztapie I Rejonu istniał Oddział Dywersji Bojowej, który przeprowadzał szereg dobrze zorganizowanych akcji skierowanych przeciwko okupantowi. Równocześnie wykonywał wyroki Sądu Polowego Kierownictwa Walki Cywilnej. Od 1943 roku oddziałem tym dowodził „Kajtek”, inaczej zwany „Mały” lub „Jaworski” – starszy sierżant rezerwy Bronisław Majchrzyk. Oddziałem Dywersji Bojowej I batalionu na terenie gminy Legionowo dowodził ppor. Waldemar Wyszowski ps. „Korwin”. W II batalionie na terenie gminy Jabłonna oddziałem takim dowodził ppor. Stefan Ziemiński ps. „Soplica”. Dowódcą Oddziału Dywersji Bojowej III batalionu w gminie Nieporęt był ppor. Zygmunt Mirecki ps. „Zim”. Oddziały Dywersji Bojowej wszystkich batalionów podlegały komendantowi I Rejonu Obwodu „Obroży”. W ich skład wchodził ludźmi najofiarniejsi, nie szczędzący własnej krwi i życia, dobrze wyszkoleni, zdyscyplinowani, zespoleni we wspólnym braterstwie broni, o wysokim poczuciu odpowiedzialności, patriotyzmu i moralności. Przyświecał im jasny cel i wiara w konieczność walki z okupantem. Na ich słowie zawsze można było polegać i zawsze na nich liczyć.

W czasie Powstania Oddział Dywersji Bojowej I Rejonu pod dowództwem starszego sierżanta Bronisława Majchrzyka został przydzielony do osłony Sztabu I Rejonu VII Obwodu „Obroży”, mającego swoją siedzibę w Legionowie.

Nigdy nie wymieniało się nazwisk. Mówiło się wprawdzie imiona, ale niejednokrotnie były one pseudonimami różnych osób, więc z reguły nie wiedziało się kto jest kto. Dlatego właśnie nie miałam pojęcia, że „Czamohorskim” był nasz sąsiad pan Antoni Wernik. To było powodem, że gdy kiedyś padło przy mnie „Edward II” uśmiechnęłam się i zapytałam:

– Dlaczego „dwa”, a nie jeden?

Nie wiedziałam bowiem, iż jest to jeden z tych nielicznych instruktorów wyszkolenia, którzy w każdej godzinie swego życia „szli ze śmiercią pod rękę” (ppor. Edward Dietrich). Na swoje usprawiedliwienie powiem, że byłam tylko jedną z wielu łączniczek i nie znałam ani schematu organizacyjnego, ani systemów szkolenia mężczyzn. Wiedziałam tylko, iż Wojskowa Służba Kobiet nie obejmowała szkolenia bojowego. Kobiety przygotowywane były jedynie na różnego rodzaju kursach, takich jak: sanitarne, łączności, wartownicze i gospodarcze.

W Warszawie zginął od kul niemieckich dwudziestoczteroletni mieszkaniec Legionowa Kazimierz Urbański ps. „Sławomir”, który z bronią w rękę brał udział w zamachu na Sturmbanführera SS Waltera Stamma – kierownika IV Wydziału w Urzędzie Komendanta Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa na Okręg Warszawski.

Coraz częściej mówiło się o przygotowaniach do zbrojnego wystąpienia przeciwko zniechęconemu okupantowi. Mama otrzymała ze swej „piątki” pieniądze i białe płótno. Kupiła nici i czerwoną farbę. Część płótna ufarbowała i szła opaski powstańcze. Robiła to albo nocami, przy szczelnie zasłoniętych oknach, albo w ciągu dnia, kiedy obydwójce z bratem byliśmy na podwórku i grając w piłkę czuwaliśmy nad spokojem pracującej Mamy.

Przez cały czas „Baśka” – Cecylia Strzelecka, „Wiki” – Weronika Chrostowska, „Magda” – Helena Strzelecka i ja kupowałyśmy dostępne nam leki i środki opatrunkowe. Nadal chodziłam do przychodni-lecznicy w Chotomowie do pana doktora „Stefana” – Jerzego Kuczamera i do szkoły – do „Kacpra” Stefana Krasieńskiego i „Aliny” – pani Haliny Drewnikówny.

W Lecznicy Zdrowia w Chotomowie kilkakrotnie w ciągu tygodnia przesiadywał w poczekalni dla chorych młody człowiek z książką lub nutami pod pachą. Zamieszkiwał na terenie Legionowa Przystanku. Był miły i rozmowny. Którejś nocy dr „Stefan” został zaalarmowany, że ranny człowiek wzywa pomocy. Chwycił podręczną walizczkę zawierającą najpotrzebniejsze narzędzia, leki i opatrunki i jak mógł najszybciej udał się do rannego. W mieszkaniu zastał go siedzącego na tapczanie. Pacjent był błydy jak ściana.

– Panie doktorze – powiedział – niech pan spojrzy co ze mną zrobili.

Sam lekarz był zaskoczony tym co ujrzał. Całe ciało pacjenta wyglądało jakby je ktoś spryskał czerwonym atramentem – dosłownie cętka przy cęcie.

– Co się stało? – zapytał lekarz.

– Było tu trzech ludzi. Odczytali mi wyrok śmierci i zaczęli strzelać. Najpierw uciekałem po kątach pokoju, a potem upadłem. Poszli.

Dr „Stefan” dał odpowiednie leki, pozaklejał ranki, nałożył opatrunki i polecił natychmiast udać się do szpitala w Legionowie. W dwa dni później do doktora przyszło dwóch mężczyzn.

– Panie doktorze, co pan mu zrobił? – zapytali.

– Dałem mu zastrzyk i kazałem iść do szpitala – odpowiedział.

– To był konfident. Po co pan go ratował?

– Kto to zrobił? – zapytał lekarz.

– Nie pańska rzecz.

– Nie. Ale jak się robi, to trzeba robić tak, aby lekarz nie był już potrzebny.

Okazało się, że to ten sam młody człowiek, który tak często przesiadywał w poczekalni dla chorych. Potem widziano go jeszcze żywego na stacji kolejowej w Poniatowie. Od tej pory jednak wszelki śluch o nim zaginął.

W domu „Magdy” – pani Heleny Strzeleckiej była olejarnia. Pod nią prowadzono nasłuch radiowy. Niedługo to jednak trwało. Ktoś uprzedził i sprawę zlikwidowano. Do mieszkania „Magdy” wpadli Niemcy i przeprowadzili rewizję. Nie znaleźli nic – tylko olejarnię. Zbili ją straszliwie. Od tej pory Władek Muszalski, Longin Bożym i dwaj bracia Bobińscy przestali przychodzić do „Baśki” – Cecylii Strzeleckiej. W tym też mniej więcej czasie „zniknął z pola widzenia” Zygfryd Winiarczyk – jak się później okazało podejrzany o współpracę z Niemcami. Niedługo potem wyprowadził się z Legionowa i zamieszkał w Elblągu. Tam został zastrzelony.

Mama szła coraz więcej opasek powstańczych, a my z bratem przynosiliśmy je w koszykach z warzywami pod wyznaczony adres. Chłopcy przeprowadzali liczne akcje. Na stacji Legionowo Przystanek rozbrojono siedmiu niemieckich kolejarzy. W Jabłonninie zniszczono mleczarnię pracującą na potrzeby okupanta. Zniszczono też księgi kontyngentów bydła. W Poniatowie zarekwirowano około

trzystu baranów przeznaczonych dla wojska. Mięso rozdano głodującej ludności. W Płudach w fabryce marmolady zabrano żywność. W Henrykowie zaatakowano patrol motocyklowy. Ciągłe się coś działo. Niemcy nie mieli spokoju. Byliśmy prawdziwym podziemnym frontem.

Wojska radzieckie były coraz bliżej. Hitlerowcy byli już bardzo zdenerwowani. Nadeszła wiadomość o wyzwoleniu Lublina. Od strony Radzimina dochodziły odgłosy artylerii. Prawie przez całe noce płonęły „żyrandole”, to znaczy zawieszane na spadochronach lampy, które bardzo długo utrzymywały się w powietrzu. Było ich tyle, że dokładnie oświetlały teren. I to bombardowanie. Śmiesznie to brzmi, ale to cieszyło.

Niemcy na dzień 22 lipca 1944 roku wyznaczili zbiórkę mieszkańców Legionowa przed budynkiem Gminy przy ulicy Batorego 47. Wszyscy mężczyźni i kobiety nadające się do robót mieli przygotowywać fortyfikacje. Z Legionowa wyznaczono dwieście pięćdziesiąt osób, a z Jabłonny czterysta. Na miejsce zbiórki przyszło zaledwie kilka kobiet. Niemcy byli wściekli. Zrezygnowali wprawdzie z ich pracy, ale zapowiedzieli, że załatwią to inaczej. I rzeczywiście. Aresztowali w Legionowie około trzydziestu osób – na Przystanku Tomasza Zygierca, Antoniego Nowaka oraz Jerzego Brzozowskiego i Mieczysława Przedlackiego. Ci ostatni zabrani byli z domu przy ul. Sosnowej. Obaj ukrywali się u państwa Przedlackich. Dom był duży, posesja ogrodzona wysokim, prawie dwumetrowym parkanem ze szczelnie przylegających do siebie desek. Było to wyizolowane, niedostępne dla niepowołanych osób i bezpieczne schronienie dla ukrywających się. Pan Przedlacki i brat jego żony Jerzy Brzozowski prawie wcale nie wychodzili ze swej kryjówki. Tego jednak wieczora, kiedy pozornie nastał okres jakiegoś takiego spokoju, bo żandarmeria nie włączyła się już po mieszkaniach, obaj mężczyźni wyszli z ukrycia, aby odetchnąć świeżym powietrzem. I wtedy... na parkanie zawisł jakiś Niemiec, który zobaczywszy ich zaalarmował swoich kompanów. Aresztowano obydwu. Wraz z innymi wywieziono ich do fortów w Pomiechówku i ślad po nich zaginął. Po zakończeniu wojny okazało się, że wszyscy zostali zamordowani w fortach. Przy ekshumacji zwłok okryto, że Jurek Brzozowski miał ręce związane na plecach drutem kolczastym, przypaloną na piersiach skórę, a za paznokciami powbijane drzazgi. We wspólnej mogile znaleziono innych, którzy mieli powyrywane języki.

Dwudziestego szóstego lipca Oddział Dywersji Bojowej dokonał napadu na niemiecki Urząd Pocztowy, mieszczący się przy ulicy Kopernika w Legionowie. Wywiązała się strzelanina, podczas której zabito dwóch hitlerowców. Tego samego dnia po mieście rozniosła się pogłoska, że gdzieś koło Nieporętu widziano oddziały „Doliny”. Stwierdzono potem, że była to grupa partyzantów zgrupowania wileńskiego Armii Krajowej, którzy przeprawili się do Kampinosu. Dowodził nimi por. Adolf Pilch ps. „Dolina”.

Dzień 27 lipca 1944 roku minął mniej więcej spokojnie. Natomiast w następnym od rana widać było wielkie podniecenie wśród Niemców. Rozpoczęli ewakuację swoich rannych z koszar. Z każdą godziną pośpiech ich stawał się coraz gwałtowniejszy. Potem podpalili koszary i uciekli. Po ich wyjściu ludność cywilna ugasiła pożar i zaczęła wynosić pozostawione części broni, amunicję i resztki żywności.

W dniu 30 lipca 1944 roku do Legionowa wróciło SS. Widocznie oprzytomnieli. Zaczęli chodzić po domach i przeprowadzać ścisłe rewizje. Jeżeli gdzieś znaleźli cokolwiek, co ich zdaniem pochodziło z koszar, rozstrzelali ludzi na miejscu bez względu na wiek i płeć.

Otrzymałam polecenie, aby nie oddalać się z domu. Miałam trwać w pogotowiu.

31 lipca 1944 roku Niemcy zarządzili zbiórkę wszystkich mieszkańców Legionowa w wieku od 16 do 60 lat. Jakiś oficer SS (podobno Lipiński – były oficer polski z poznańskiego) zastrzelił mężczyznę, który jakoby spóźnił się na wyznaczoną godzinę. Ludzie mówili, że zabitym był wysiedleńca z poznańskiego o nazwisku Drzymała. Z pewnością chodziło SS-manowi o zastraszenie Polaków i zmuszenie do uległości wobec terroru okupanta. Około tysiąca ludzi, którzy zebrali się przed Gminą Niemcy popędzili w kierunku Nieporętu. Równocześnie w dalszym ciągu przeprowadzali w domach rewizje. Mówiono, że u kogoś znaleźli łopatkę saperską i tylko za to go zastrzelili. W lesie „Bagno” koło Chotomowa stacjonowali własowcy. Było ich tam podobno około czterech tysięcy. Dokonywali wypadów rabunkowych i gwałcili kobiety.

„Burza” w Legionowie

Słońce chyliło się ku zachodowi. Przyjechała do mnie łączniczka i wezwała do natychmiastowego stawienia się w wyznaczonym punkcie, którym był drewniany budynek mieszkalny. Tu znajdowało się już wielu żołnierzy i ciągle napływali nowi. Kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno, pod osłoną nocy pomaszzerowaliśmy ulicą Batorego w kierunku Legionowo-Przystanek. Doszliśmy do białego, jedno-piętrowego domu, stojącego na górze przy ulicy Krasieńskiego 32. Tu spędziliśmy resztę nocy. Nikt nie spał. Chłopcy, którzy znajdowali się na podwórku palili ukryte w rękawach papierosy. Siedzący w domu czyścili broń. Tam spotkałam również inne dziewczęta, o których przedtem nie słyszałam, aby należały do organizacji. Razem z nimi była Hanka Traczykówna, córka kierownika szkoły nr 2 w Legionowie.

Nad ranem otrzymałam rozkaz zameldowania się u por. „Ali” – pani Wandy Tomczyńskiej w jej domu przy ul. Jagiellońskiej 40. Pani Wanda pełniła funkcję kierowniczkę kancelarii I Rejonu i była kurierką Sztabu Sieci Zewnętrznej oraz komendantką Wojskowej Służby Kobiet. Na terenie Legionowa do WSK należały 404 kobiety. Kiedy się tam zgłosiłam zrozumiałam, jak wielkie spotkało mnie wyróżnienie – byłam łączniczką I batalionu przydzieloną do Sztabu I Rejonu.

Zupełnie wyraźnie dawało się odczuć przygotowania do zbrojnego wystąpienia, na które polskie społeczeństwo czekało jak na święto wyzwolenia. I wreszcie ta chwila nadeszła.

Dzień 1 sierpnia 1944 roku spędziłam w wielkim podnieceniu. Już się coś działo. Byłam włączona do tego ogromnego koła, które toczyło się coraz prędzej. Pomimo ciągłej bieganiny po terenie I Rejonu nie czułam zmęczenia. Dzień zbliżał się ku zachodowi. Nadchodziła godzina siedemnasta – godzina „W”. W pewnej chwili usłyszałam kryptonim „Burza” oznaczający rozpoczęcie działań powstańczych na terenie całego kraju.

Otrzymałam rozkaz udania się do gmachu gimnazjum przy ulicy Kopernika, a zaraz potem do Spółdzielni Rolniczej przy Sienkiewicza 8. Pamiętam co się wtedy działo. Biegąc do wyznaczonych mi punktów usłyszałam zajadłą strzelaninę. Gdy byłam na wysokości ronda przy ul. Batorego, gdzieś blisko zagrały pistolety maszynowe. Dopadłam do gmachu gimnazjum słysząc jeszcze ciągle świst kulek, lecących mi nad głową. Natychmiast po przekazaniu rozkazu udałam się do spółdzielni przy rynku (róg Sienkiewicza 8), gdzie od godziny „W” było miejsce postoju Sztabu I Rejonu Armii Krajowej „Obroza” VII Obwodu Warszawa-Powiat. Rynek był wówczas pustym, wybrukowanym kocimi łbami placem targowym, położonym pomiędzy ulicami: Batorego, Sienkiewicza, Piłsudskiego i 3 Maja.

Kiedy skończyło się ostrzeliwanie kwatery Sztabu Dowództwa I Rejonu otrzymałam polecenie udania się na Bukowiec, gdzie stacjonował I batalion pod dowództwem por. „Znicza” – Bolesława Szymkiewicza. Najgorzej było z przebieganiem szosy Jabłonna-Zegrze, którą nieustannie jechało wiele czołgów, samochodów pancernych i innych wozów bojowych. Dlatego właśnie Niemcy byli na tym odcinku szczególnie wyczuleni. Każdorazowe przebiegnięcie szosy groziło śmiercią. To było powodem, że nasi chłopcy obsadzający drogę musieli czuwać nad bezpieczeństwem łączniczek. Hitlerowcy nie liczyli się z amunicją, nasi chłopcy musieli.

Szosę przeskakiwałam w różnych miejscach, w zależności od nasilenia ognia. W przewyżczeniu samej siebie pomagały mi dwie myśli: tam czekają na mnie, a tu koledzy czuwają nad moim bezpieczeństwem. Czułam odpowiedzialność za każdą minutę zwłoki, bo od niej mogło zależeć życie niejednego z naszych.

W ciągu całego dnia 1 sierpnia 1944 roku polskie posterunki obserwacyjne naliczyły na szosie Jabłonna-Zegrze około czterystu wozów pancernych, czołgów Dywizji Pancerniej Herman Göring (która stacjonowała w pałacu w Jabłonie) oraz wozów amunicyjnych zdążających w kierunku Zegrza. Po południu od strony Strugi, Zegrza i Radzymina dały się słyszeć odgłosy silnego, ostrzału artyleryjskiego. Niedaleko od nas, zaledwie kilkanaście kilometrów, znajdował się front radziecki.

Przed wieczorem 1 sierpnia 1944 roku nadeszła do sztabu wiadomość, że na odcinku Chotomów – Legionowo Przystanek zostały rozkręcone szyny kolejowe, na które wjechał niemiecki pociąg i wykoleił się. Powstańcy zabrali z wagonów sanitarnych leki, koce i materiały opatrunkowe, które przeznaczono dla szpitali polowych.

Całą noc trwała bieganina. Nad ranem 2 sierpnia na szosie warszawsko-jabłonowskiej powstańcy uszkodzili czołg niemiecki. Hitlerowcy skierowali od strony Pragi w kierunku Jabłonna dwa czołgi, które ostrzelały przydrożne domy. W Piekielku i Henrykowie zabite zostały dwie osoby cywilne.

Szosą jabłonowsko-zegrzyńską znów jechały „Tygrysy”, które siekły z karabinów maszynowych na prawo i lewo. Chłopcy okopani w dołkach na poboczu przeżywali dosłownie sądny dzień. Mimo to nie zeszli ze swoich stanowisk. Ciągłe rzucali granaty i butelki z benzyną. W ten sposób uszkodzili trzy czołgi.

Nasza „Reduta” na bieżąco podawała wszystkie wiadomości z pola walki.

Noc z 2 na 3 sierpnia 1944 roku zapowiadała się nieco spokojniej. Wraz z koleżanką-łączniczką Felicją Tomaszewską „Luśką”, otrzymałam zezwolenie na spędzenie jednej nocy w domu. Biegając z rozkazami i meldunkami przez gęsto ostrzeliwaną szosę Jabłonna-Zegrze nie wierzyłam, że przeżyję w akcji następny dzień. A tak bardzo chciałam jeszcze raz zobaczyć Matkę... Całą noc Matka moja nie kładła się spać. Z różańcem w rękę chodziła od pokoju do pokoju modląc się i czuwając nad naszym snem. Kilkakrotnie budziłam się i zawsze widziałam ją krążącą po mieszkaniu.

O godzinie 5 czy 6 rano miałam stawić się w sztabie. Do przejścia miałam około trzech-czterech kilometrów. Mama obudziła mnie. Wybiegłam z domu. Zamykając za sobą furtkę ogrodzenia odwróciłam się, aby jeszcze raz spojrzeć na Mamę. Ona, stojąc na progu, kreśliła znak krzyża. O oznaczonej godzinie zameldowałam się w sztabie. Nie wiedziałam wówczas, że w nocy z 2 na 3 sierpnia Niemcy wyparli powstańców zarówno z części lasu koło Wieliszewa, jak i z samej stacji Wieliszew.

3 sierpnia 1944 roku około godziny jedenastej nadeszła do sztabu wiadomość, że od strony Modlina przyjechał pociąg pancerny i Niemcy przystąpili do pacyfikacji terenu III parceli Legionowa-Przystanek. Ktoś powiedział do mnie:

– To tam, gdzie mieszkasz.

Potem nasi chłopcy poszli tam do akcji. Odpierali Niemców. Poprosiłam, aby wysłano mnie w tamtym kierunku z jakimś rozkazem. Nie wysłano, nie pozwolono. Poszła koleżanka. A potem dowiedziałam się, że jest mnóstwo rannych i zabitych. Poległ „Kacper” Stefan Krasieński i syn „Fali” (Aleksandra Gierymskiego) – Eligiusz Gierymski.

O zachodzie słońca stało się to, czego nigdy w życiu nie zapomnę. Pozwolono mi pobiec do domu, aby dowiedzieć co się dzieje z moimi najbliższymi. Po powrocie miałam zmienić koleżankę, która tę noc powinna mieć wolną. Biegłam do domu jak oszalała. Była już blisko, gdy spotkałam znajomą. Zapytała:

– Jak się mamusia czuje?

Matkę znalazłam w kostnicy; brata, który też już nie żył – w szpitalu polowym w Chotomowie. Dom prawie doszczętnie rozbity granatami i pociskami zapalającymi.

Wróciłam do sztabu i tu... dowiedziałam się, że Powstanie upada, że jestem niepotrzebna. Mogę iść z chłopcami do lasu lub wracać do domu i nie przyznawać się do udziału w walce. Nie miałam gdzie iść. Nie miałam już domu i żadnej rodziny. Mogłam pójść do lasu, ale w Chotomowie leżały nie pogrzebane ciała moich najbliższych. Chciałam im zapewnić spokój...

Potem dowiedziałam się, że Niemcy wybierali z domów ludzi, pędzili w kierunku pociągu pancernego i strzelali z wagonów kulkami rozrywającymi „dum-dum”. Zrozumiałam dlaczego matka moja miała rozerwaną szyję i oderwaną prawą rękę, a brat rozerwany brzuch i nogę. Nikt nie był w stanie ich uratować.

Wieść o śmierci Matki i brata lotem błyskawicy obleciała Legionowo. Toteż na widok znajomych przyspieszałam kroku, udając bardzo zagonioną. Nie chciałam być narażona na gędzenie na temat dla wszystkich tylko aktualny, a dla mnie zbyt bolesny.

Było bardzo gorąco, co groziło natychmiastowym rozkładem ciała. Ponadto Niemcy mogli przyjechać raz jeszcze, zabrać i zbezczeszczyć zwłoki, a także wylapać ludzi uczestniczących w pogrzebie. Dlatego wszystkich poległych pochowano następnego dnia rano. Wśród nich m.in. Narostkównę i Grabowskiego, których ślub miał się odbyć w najbliższą niedzielę. Grabowski poległ w walce z Niemcami. Narostkówna widząc to chwyciła jego karabin i rzuciła się do boju.

Powstanie upadło. Hitlerowcy chcąc oczyścić teren wokół szosy Jabłonna-Zegrze rozpoczęli natarcie na las Choszczówka-Bukowiec. Wspierani ogniem trzech czołgów zaatakowali od tyłu pozycje powstańcze I batalionu por. Bolesława Szymkiewicza „Znicza”, a od strony północnej III batalion, rozmieszczony w lesie koło Wieliszewa i w samej wsi. Zginęli wówczas między innymi dwaj synowie właściciela Poniatowa hrabiego Grochulskiego, a książę Radziwiłł dostał się do niewoli. Nieludzko skatowany – wożony był po Nieporęcie z zawieszoną na piersiach tablicą i napisem w języku niemieckim: „Polski hrabia – polski bandyta”. Następnie został rozstrzelany. Przypadkowo odnaleziono w lesie zwłoki, które zidentyfikowano na podstawie rodzinnego amuletu i pochowano w grobie rodzinnym w Serocku.

Powstańcy bojąc się okrążenia wycofali się na teren Bukowca i tu III batalion został połączony z batalionami I i II pod ogólnym dowództwem por. „Znicza”. Ci którzy posiadali broń i chcieli dalej walczyć, ukrywali się w lasach Choszczówki i stąd robili wypadki. Przecinali linie telefoniczne i niszczyli słupy, atakowali niemieckie transporty zaopatrzeniowe spieszące na front wschodni i przeciwko walczącej Warszawie. Jeden z pododdziałów I batalionu poszedł aż do stacji Warszawa-Praga i tam napadł na pociąg zdążający w kierunku stolicy. Inny podpalił park samochodowy przy ulicy Ziemowita na Pradze. Wypadki takie były bardzo niebezpieczne, albowiem w rejonie Płudy-Zerań stwierdzono koncentrację sił hitlerowskiej artylerii, ostrzeliwującej Żoliborz i Śródmieście.

Powstanie upadło. Pozostało mi po nim tylko wspomnienie, grób najbliższych, rozbity granatami i podpalony dom...

Następnego dnia po powrocie z pogrzebu przysłałam na swoje rumowisko. Gdzieś tam wałały się listy. Książki z pieczołowicie gromadzonej z bratem biblioteczki leżały po kątach. Pod drzwiami znalazłam kawałek rozdartej stronicy. „Złote zdanie o matce” – przeczytałam tytuł. „Matkę raz tylko Bóg daje i raz ją tylko zabiera, jakby przez wzgląd na to, że w słabym sercu człowieka raz tylko uczucie miłości ku matce godnie rozwinąć się może, gdyż nikt zapewne z ludzi nie zdołałby przeżyć po dwakroć takiego żalu, jaki nas ze śmiercią matki ogarnia” – Julian Miłkowski. Gorąca prawda tych słów uderzyła we mnie niby fala żaru buchająca z rozgrzanego do czerwoności pieca. On musiał też cierpieć po śmierci matki, skoro tak to potrafił ująć.

Nagle mój wzrok padł na napisany przez Wiesia do Taty i nie wysłany list. Podniosłam go i zaczęłam czytać, a potem schowałam i pozbierałam inne. Niewiele ich znalazłam. Postanowiłam je zachować. Wszystkie inne spaliłam.

W dniu, w którym pan Henryk Ciesielski i pan Michał Olszewski mieli pomóc mi urządzić się w zniszczonym domu, z samego rana spostrzegłam, że na torach kolejowych dzieje się coś niedobrego. Widziałam idących Niemców. Raz po raz któryś z nich odłączał się od kolumny i kładł się z karabinem na trawie przy torze. Sprawa była poważna. Wyjść z domu, aby ostrzec ludzi nie mogłam, gdyż dosłownie niecałe sto metrów ode mnie jakiś hitlerowiec zajął swoje stanowisko. Nie wiedziałam co robić. Liczyłam na cud, że chłopcy nie przyjdą na umówioną godzinę. Oni jednak byli słowni. Nic nie podejrzewając szli od strony lasu, głośno ze sobą rozmawiając. Kiedy spostrzegli podnoszącego się z ziemi Niemca było już za późno. Widocznie tłumaczyli mu, że idą do mnie, bo pokazywali ręką w kierunku mojego domu. Pokazywali również dokumenty. Wydawało mi się, że trwało to wieki. Wreszcie Niemiec zdecydował, że przyjdzie z nimi do mnie. Z lufą wymierzoną w ich plecy i palcem na cynglu prowadził ich w stronę domu. Kiedy dochodzili do furtki, drżąca ze strachu o ich życie szeroko otworzyła drzwi. Niemiec obszedł z nami cały dom i przekonał się, że mówili prawdę. W środku oprócz mnie nie było nikogo. Opuścił więc lufę pistoletu i kazał im wyjść. Powiedział, aby przyszedli później, bo „teraz nie wolno”. Puścił ich przed sobą i szli tak w stronę furtki. Wiedząc, że hitlerowcy potrafili strzelać w plecy dygotałam z niepewności. Dopiero kiedy mogłam być pewna, że życiu ich nie zagraża niebezpieczeństwo, nogi ugięły się pode mną.

Dowiedziałam się, że umarła pani Zofia Wernikowa, nasza znajoma, a zarazem dalsza sąsiadka. Pomimo usilnych starań nikt nie chciał dać furmanki w celu przewiezienia zwłok na cmentarz w Chotomowie. Prawdziwie serdecznej, koleżeńskiej pomocy udzielił jej synowi, Antoniemu Wemikowi, pan Edward Dietrich. Wraz z innymi kolegami przetransportował trumnę ze zwłokami na własnych ramionach (prawie trzy kilometry, od domu do cmentarza).

Wszędzie, gdzie tylko znajdował się jakiś słup czy parkan (a tych w Legionowie nie brakowało) nalepiano ogłoszenia, że 16 sierpnia 1944 roku mieszkańcy miasta mają się zgłosić do koszar w celu „przestemplowania” kart rozpoznawczych. Nie podpisane i nie przestemplowane Kennkarty traciły ważność, a posiadacze takowych mieli być zatrzymywani przez władze okupacyjne. Ogłoszenia te narobiły wiele wrzawy. Każdy bowiem doskonale wiedział, że miejsce wyznaczone do podpisywania kart jest odosobnione i obwarowane. W każdej chwili Niemcy mogli wyłapać wszystkich, którzy tam pójść bez żadnych obaw o własne straty. W cały Legionowie nie mówiło się o niczym innym. Toteż kiedy panowie Michał i Henryk, jak zwykle co tydzień przyszedli mnie odwiedzić i zapytać czy nie mam jakichś potrzeb (zwyczaj ten ustalił się od pogrzebu mojej Mamy), rozmowa zaczęła się właśnie od tego. Sprawa była tym bardziej poważna, że podczas podpisywania przez Niemców dowodów osobistych, niektóre osoby zapisywano na oddzielnych listach. W jakim celu – nikt nie wiedział. Powszechnie sądzono, że te osoby wysłane zostaną do Rzeszy. Obydwoj młodzińcy pocieszali mnie, ale sami nie byli pewni jutra. Ponieważ jednak obowiązku tego należało dopełnić, umówiliśmy się na dzień następny. Chłopcy twierdzili, że lepiej będzie pójść w pierwszej kolejności, gdyż Niemcy na pewno nie będą chcieli płoszyć ludzi jakąś łapanką.

Nazajutrz według umowy obydwaj koledzy zjawili się u mnie i razem powędrowaliśmy do Jaskini smoka”. Stanęliśmy w kolejce oczekujących, pan Henryk przede mną, a pan Michał za mną. Przy stole siedział jakiś opasły Niemiec i młoda, jaskrawo umalowana z nastroszonymi włosami pannica. Gdy wreszcie po dość długim oczekiwaniu doszliśmy do nich, dziewczyna wzięła do ręki dowód pana Henryka. Popatrzyła na niego i oddała Niemcowi do podpisania. Następnie sięgnęła po moją kartę rozpoznawczą. Spojrzała na mnie, później na fotografię i wpisała nazwisko na jedną z list. Dopiero potem oddała Niemcowi. Pan Michał uniknął wpisania na tę listę. Kiedy jego dowód znalazł się w ręku Niemca wymienił z panem Henrykiem szybkie, porozumiewawcze spojrzenie. Odeszliśmy na bok. Pan Henryk przeprosił nas na chwilę. Ze zdziwieniem zauważyłam, że podszedł do wymalowanej panny. Chwilę z nią rozmawiał, a następnie pokazał w naszą stronę. Panna popatrzyła i kiwnąwszy głową coś szybko skreśliła i coś zapisała.

– Po co pan Henryk tam poszedł? – zapytałam pana Michała.

– Załatwić pani sprawę – usłyszałam. – Zapisała panią na listę osób, które w pierwszej kolejności mają być wywiezione do Niemiec. Henryk poszedł, aby jego zapisał, a panią skreśliła.

W tym czasie linia frontu wojsk radzieckich nadal przebiegała koło Rembertowa, Wołomina, Woli Grzybowskiej, Sulejówka i Międzyzlesia. Niemcy na naszym terenie coraz bardziej ograniczali obszar zajęty przez powstańców, ukrywających się w lasach nad Wisłą. W dniach 5-8 września 1944 roku batalion legionowski przeprowił się przez Wisłę w okolicy Kępy Tarchomińskiej. Podczas tej przeprawy utonął mój szkolny kolega Janusz Nowacki. Batalion wkroczył do Puszczy Kampinoskiej, minął wieś Pocięchę, Truskaw i oddał się pod komendę majora Alfonsa Kotowskiego „Okonia”.

Nie miałam pieniędzy i jedzenia. Pozostało mi tylko trochę mąki i kaszy. Tym się żywiłam. Dom był doszczętnie zniszczony i rozkradziony, więc nie miałam co sprzedać, aby zdobyć chociaż parę złotych na kupno chleba. Nie miałam pojęcia co dalej robić i jak to się skończy. Moją tragiczną sytuację wyczuła pani Stefa Wernikówna – córka pani Zofii i siostra pana Antoniego. Zaproponowała mi obiady u siebie. Któregoś dnia podczas obiadu i toczącej się w tym czasie rozmowy powiedziałam, że Niemcy

obrzucając dom granatami poniszczyli mi wszystkie garnki. Nie miałam nawet czajnika do zagotowania wody na herbatę. Następnego dnia, kiedy po obiedzie żegnałam się z tymi bardzo życzliwymi ludźmi, otrzymałam od pani Stefy czajnik. Był niewielki, ale bardzo poręczny. Ucieszona wielce tym prezentem wracałam do domu, rozmyślając ile pożytku przyniesie mi to małe naczynie. Nagle zupełnie wyraźnie usłyszałam:

– Halt!

Poczułam przebiegające mi po grzbiecie dreszcze, ale nie odwróciłam się. Drugie „halt” wywołało ten sam skutek. Szłam dalej nie przyspieszając kroku, ale kolana uginały się pode mną. Wreszcie przy trzecim wezwaniu usłyszałam repetowanie karabinu. Wiedziałam, że jeśli się nie odwrócę to za chwilą padnie strzał. Obejrzałam się. Zobaczyłam Niemca celującego do mnie, a obok niego małego chłopca – Kajtka Nowaka. Hitlerowiec opuścił broń i wykonując ręką ruchy kazał mi podejść do siebie. Sam też zaczął iść w moim kierunku, pilnie bacząc na chłopca. Zażądał ode mnie dokumentów. Podałam mu je pytając zarazem chłopca czego od niego chce. Małec odpowiedział, że ma zaprowadzić Niemca do jakiejś pani. Tymczasem żołnierz, rzuciwszy zaledwie okiem na moje dokumenty, kazał mi pójść z nim na komendę. Chciał wyjaśnić jakąś sprawę dotyczącą mojego zaświadczenia pracy. Struchlałam. Zaświadczenie było fałszywe. Niemiec całkowicie zajął się moją osobą i zupełnie nie zwrócił uwagi na chłopca, który nagle znikł jak przysłowiowa kamfora. Ja też nie zauważyłam jego ucieczki, zajęta swoimi myślami o fałszywym zaświadczeniu.

Tylko przytomność umysłu sąsiadki, która wówczas wkroczyła do akcji, uratowała mnie od tego, przed czym inne dziewczęta obronić się nie były w stanie. Sąsiadka mówiła biegle po niemiecku. Kiedy ujrzała mnie prowadzoną przez żołnierza w stronę jej domu, zapytała go czego ode mnie chce. Wtedy on zapytał, czy w jej domu jest jakiś wolny pokój ze stołem, bo chce mnie wylegitymować. Weszliśmy do pustego mieszkania. Minęliśmy kuchnię, wchodząc do ciemnego pokoju. Niemiec kazał mi usiąść na krześle i zaczął coś do mnie mówić. Odpowiedziałam, że nic nie rozumiem. Chciałam w ten sposób zyskać trochę na czasie. W pomieszczeniu było bardzo ciemno, tylko przez serduszka wycięte w okiennicach wpadały dwie smugi słonecznego światła. Zaczęłam się w duszy modlić i wzywać na pomoc zmarłą Matkę. Żołnierz mówił coś jeszcze po niemiecku. W pewnej chwili przerwałam mu pytaniem, ile lat jest na froncie w Polsce. Kiedy odpowiedział, wiedziałam już, że rozumie po polsku. Wówczas ujęłam w rękę żałobny welon, który nosiłam na głowie i powiedziałam:

– Bandyty zabili mi Matkę i brata. Widzi pan – noszę welon – żałobę po nich. Może ma pan żonę w moim wieku, może siostrę... może córkę. I jeżeli zrobi mi pan krzywdę, to los zemści się i odplaci tym samym. W tej chwili z nimi zdarzy się to samo.

Niemiec zerwał się z krzesła i kazał mi iść przed sobą szybko skierował się w stronę kuchni, gdzie okno nie miało zamkniętych okiennic. Sąsiadka zorientowała się o co chodzi i otwierając w tym momencie drzwi wejściowe zapytała:

– Co pan chce z nią zrobić?

Żołnierz odpowiedział jej coś po niemiecku. Wyszliśmy na podwórze. Sąsiadka nadal mówiła coś do niego. W pewnym momencie Niemiec wyciągnął do mnie rękę. Pomyślałam, że może z jego ręki padł morderczy strzał do mojej Matki lub brata. Sąsiadka patrząc mi badawczo w oczy powiedziała stanowczym głosem:

– Niech mu pani poda rękę.

Potem kazała mi spokojnie odejść. Nie poszłam od razu do siebie do domu. Bałam się, że może pójdzie za mną. Wszłam więc do państwa Walewskich. Romek był chory. Nie wstawał już z łóżka. Zapytałam co się stało. Ze łzami w oczach i dziwnie zmienionym głosem powiedział coś o swojej bezsilności i o tym, że nie mógł wziąć broni do ręki, aby walczyć jak inni.

Pamiętny dzień 3 sierpnia 1944 roku – dzień śmierci mojej Mamy i brata – był wprawdzie pogodny, ale ziemia była przesiąknięta padającymi wcześniej deszczami. Romek leżąc wraz z innymi przez parę godzin na mokrej ziemi zaziębił się. Nie leczona gruźlica wyniszczyła młody organizm. Romek dostał „prosówki”. Leżał w szpitalu w Legionowie. Nikt nie przychodził do niego. Nie odwiedzali go nawet jego koledzy, bo albo ich nie było, albo bali się zarazić. Romek wiedział o tym i ze smutnym uśmiechem powiedział mi to kiedyś, gdy odwiedziłam go w szpitalu:

– Ty jedna nie bałaś się mnie.

Zamknął oczy i przez chwilę smutny uśmiech błędził po jego twarzy.

– Dziękuję Alu, że przyszedłaś do mnie. Dziś widzimy się po raz ostatni. Chyba, że na tamym świecie się spotkamy.

Miał rację. Potem już zupełnie nie można było pokazać się na ulicy. Pójście do szpitala, oddalonym od mojego domu o trzy kilometry, byłoby zbyt dużym ryzykiem. Jedenastego października 1944 roku Romek Walewski zakończył życie. W chwili śmierci nie było przy nim nikogo, ani matki, ani nikogo z przyjaciół.

Kilkakrotnie przed wizytą własowców, którzy stacjonowali w lesie Bagno koło Chotomowa uchroniła mnie pani Ludwika Kiljanowa, matka „Sławki” (Stefy Kiljanówny). Mieszkała ona naprzeciwko naszego

domu przy ulicy Bukowej. Któregoś dnia dosłownie w ostatniej chwili schowaliśmy się do piwnicy. Obie ze Stefą słyszałyśmy kroki nad naszymi głowami i drżałyśmy na myśl co będzie, jeżeli otworzą klapę prowadzącą na dół.

Po tych wydarzeniach pani Stefa Wernikówna zdecydowała razem z bratem, że mam zamieszkać u nich. Tym bardziej, że grupy własowców coraz częściej dokonywały mordów. W lesie Bagno zamordowani zostali synowie państwa Morawskich, zamieszkałych na terenie Legionowa-Przystanek. Coraz częściej też własowcy dokonywali wypadów z lasu, atakując domy ludności cywilnej. Rabowali i gwałcili nie tylko w Chotomowie, ale także w jego okolicy.

W tym samym mniej więcej czasie Niemcy zajęli domy naszych sąsiadów na swoje kwatery. Dlatego bałam się mieszkać sama. Przykro mi było zostawić mój dom rodzinny, ale pozostać w nim nie mogłam. Toteż kiedy pani Stefa zaproponowała mi, abym przeniosła się do nich, z chęcią to zrobiłam. Wyprowadzając się z domu moich Rodziców po raz ostatni chodziłam po wszystkich kątach. W każdym przystawałam, myślałam, wspominałam... W tych murach skończyło się moje beztróskie dzieciństwo. Tu zaczęła się moja młodość...

– Pani Alu, łapanka – zawołała w pewnej chwili pani Walewska. To magiczne słowo wyrwało mnie z zadumy.

– Gdzie?

– Niemcy idą od strony Chotomowa – odpowiedziała. Cofnęłam się do pokoju. Teraz szybko całowałam spojrzeniem każdą ścianę, na którą padł wzrok mojej Matki, każdą deskę podłogi, gdzie stały Jej kochane stopy i kłamkę, dotykaną przez Jej ręce. Chwyciłam parę przygotowanych rzeczy i uciekłam. Nie zamknęłam drzwi. Po co? I tak je wyłamia. Niech więc będą otwarte. Z pobliskiego lasu rzuciłam ostatnie spojrzenie. Dom stał pusty, samotny i opuszczony. Przyszło mi na myśl, że szczury też opuszczają okręt, kiedy grozi mu zatonięcie. Nie miałam jednak więcej czasu na rozmyślanie. Trzeba było się spieszyć. Niemcy chodzili już po domach i wyciągali ludzi.

Państwo Wernikowie, zaniepokojeni moją dosyć długą nieobecnością, chwycili mnie za rękę i wciągnęli do dziury pod podłogą. Na powierzchni zostali tylko ich lokatorzy, państwo Bieleccy. Im nie groziło wywiezienie. Oboje byli starzy, a pan Bielecki częściowo sparaliżowany.

W przerwach między tzw. „nalotami” Niemców wychodziliśmy na powierzchnię. Zawsze jednak we wszystkich oknach stała warta, która w razie czego alarmowała pozostałych. Szczęściem naszym było to, że dom państwa Werników stał na górze (przy ulicy Kolejowej) i stanowił dla nas doskonały punkt obserwacyjny, gdyż posiadał okna na wszystkie strony świata. Mój „posterunek” znajdował się w łazience, skąd miałam widok na północ w kierunku Chotomowa.

Minęło parę dni względnej ciszy. Któregoś razu jednak od strony Chotomowa zobaczyłam tłum ciemnych postaci. Coś nieśli w rękach. Łopaty, piły? Tak jakoś lśniło to w słońcu. Nie mogliśmy się zorientować, co też to było. Gdy się nieco zbliżyli sprawa się wyjaśniła. Specjalna ekspedycja ścinała drzewa, podpałała drewniane domy i wysadzała w powietrze murowane. Z przerażeniem patrzyliśmy na to spustoszenie. Las już leżał. Dom pani Walewskiej płonął, a pani Kiljanowej rozbłysnął nowym ogniem. Na tle tej pochodni mój dom rozsypał się jak domek z kart. Nogi ugięły się pod mną. Zrobiło mi się słabo – zabrakło tchu. Chciano mnie wyprowadzić, ale nie dałam się odciągnąć od okna. Chciałam widzieć to wszystko do końca. Sparaliżowany pan mówił o materialnych stratach. Zadawałam sobie wówczas pytanie, czy on tego nie może pojąć, że dla mnie ważniejsze jest coś innego. Było to przecież moje ostatnie miejsce wspomnień. Błagałam w duchu, aby chociaż w tej chwili zamilkł, ale on mówił i mówił, dowodził, twierdził...

Wysłałam. Pani Stefa wybiegła za mną. Nie pocieszała, bo i po co. Przytuliła mnie tylko mocno, bardzo mocno... Kochana... Do pokoju, w którym byliśmy obydwie, wszedł sparaliżowany pan. Powłóczył nogą i ciężko opierał się na lasce. Podniosłam głowę. Nie, jemu nie pokażę łez. Zwracając się do pani Stefy powiedziałam:

– Zaraz to zrobię. Niech pani odpocznie chwilę.

Zrozumiała mnie, że chcę wyjść.

– Bardzo proszę – odpowiedziała. A potem podniosła się z kozetki i podeszła do okna.

Zamykając drzwi słyszałam jeszcze głos starszego pana:

– Musimy wzmoćnić wartę. Może będą chcieli zajrzeć i do nas.

Pewnego dnia stojący na straży przy oknie wychodzącym na ulicę Kolejową pan Antoni krzyknął nagle:

– Patrzcie, patrzcie!

Podbiegliśmy do okna i spojrzeliśmy w kierunku Warszawy. Ogromną przestrzeń nieba pokrywały drobniutkie punkciki, które spływały w dół i rosły. Co to może być? Desant? Sprawa się wyjaśniła. Na różnokolorowych spadochronach coś spadało w dół. Ni to ludzie, ni to pakunki. Z daleka nie mogliśmy tego dokładnie rozpoznać. Jedno było pewne – zrzut, pomoc dla walczącej Warszawy. Co noc obserwowaliśmy dymy i pożary nad stolicą. Serca nam się krajały, ale byliśmy bezradni i bezsilni.

Od strony Radzymina słychać było coraz bliższą kanonadę artyleryjską. Już od dwóch miesięcy siedzieliśmy pod podłogą, bo ciągle jeszcze było bardzo niebezpiecznie przebywać na powierzchni.

Zaziębiłam się. Kaszlałam i kichałam. W takim stanie nie mogłam chować się w piwnicy. Wszystkie lekarstwa, które posiadała w domu pani Stefa, dawno już się skończyły. Powstał więc problem, co robić ze mną. Wreszcie zapadła decyzja. Dostałam do herbaty jedną łyżeczkę spirytusu. Okazało się, że jedna łyżeczka urosła prawdopodobnie do trzech, bo leżąc w łóżku poczułam przyspieszony obrót ziemi. Upiłam się tak strasznie, że robiłam podobno wrażenie drewnianej kłody. Po dwunastu godzinach obudziłam się i stwierdziłam, że klucie pod łopatką i kaszel minęły.

Żandarmeria polowa codziennie chodziła od domu do domu. Wyłapywali ludzi. Niekiedy chodzili po kilka razy dziennie. Niektórych zabierali ze sobą, innych rozstrzelali na miejscu. Jeśli ktokolwiek po godzinie policyjnej zjawił się na ulicy, strzelano do niego bez ostrzeżenia. Przy ogrodzeniu działki państwa Werników zabita została kobieta niosąca mleko. Z podziurawionej bańki ciekło na ziemię i mieszało się z krwią.

Po pewnym czasie żandarmeria przestała chodzić nocami po domach, ale pojawili się pijani żołnierze. Któregoś wieczora pan Tolek siedział w kuchni myjąc nogi. Pani Stefa usiadła przy stole, zwrócona twarzą do ogrodu. Nagle w blasku pełni księżyca zjawiła się tuż przed domem postać z białą opaską na szyi. Ta zabandażowana szyja Niemca uratowała nam życie. W jednej chwili byliśmy pod podłogą. Na kłapę położono dywanik, a na nim postawiono dziecięcy nocnik. Były to „rekwizyty” stale leżące przy podłogowym otworze.

Dobijającego się do drzwi Niemca wpuszczono do domu. I wtedy zaczęło się... Żołnierz zaczął ciskać się po pokoju. Darł się, że schowali się tutaj partyzanci. Starsi państwo Bieleccy uspokajali go twierdząc, że to jakaś pomyłka, gdyż tylko oni z synową i wnuczką zamieszkują ten dom. Tymczasem Niemiec zarepetował broń i wymierzył w podłogę, pod którą byliśmy ukryci. A było nas tam wtedy czworo: pani Stefa i pan Tolek Wernikowie, syn państwa Bieleckich i ja. Leżeliśmy tuż pod Niemcem i zastanawialiśmy się, co się stanie, gdy kogoś trafi i ten odruchowo jęknie lub szarpnie się. W takim przypadku czekałaby nas niechybna śmierć. Jakimś cudem żołnierz dał się przekonać, że chyba się pomylił. Odprowadzono go poza ogrodzenie. My jednak ciągle jeszcze leżeliśmy pod podłogą zupełnie odrtwiali. Nie pamiętam już ile czasu to trwało. Dla nas były to całe wieki.

Po pewnym czasie jakoś się uspokoiło. Żandarmeria odeszła. Któregoś dnia siedzieliśmy wszyscy „na powierzchni”. Niespodziewanie do drzwi załomotały czyjeś pięści. Pan Tolek i ja błyskawicznie zjechaliśmy pod podłogę, ale syn państwa Bieleckich i pani Stefa nie zdążyli. Do mieszkania wszedł niemiecki oficer z żołnierzem. Trudno opisać, jakież olbrzymie okazał zdziwienie, gdy zobaczył młodego, zdrowego mężczyznę. Było to zrozumiałe, bo żandarmeria tak dokładnie „przeczesała” teren, że młody człowiek z miejsca wydawał się podejrzany. Niemiec postanowił go zabrać ze sobą. Zaczął coś mówić, ale pani Stefa nie знаła niemieckiego. Zaczęła więc mówić do niego po francusku. Wówczas na twarzy oficera pojawił się uśmiech. Nie spodziewał się spotkać w skromnym polskim domu pięknej kobiety mówiącej po francusku. Rozmawiali dosyć długo. Dzięki tej rozmowie Niemiec zdecydował, że nie zabierze ze sobą syna państwa Bieleckich. Natomiast codziennie rano będzie przysyłał po niego żołnierza, który będzie go zabierał na cały dzień, a wieczorem odprowadzał do domu. Nie było rady. Można było mu tylko za to podziękować.

Któregoś wieczora siedzieliśmy wszyscy w piwnicy. Od paru dni panowała idealna cisza. Nagle nad naszymi głowami dał się słyszeć tupot licznych nóg. Chwilę później kilku Niemców z pistoletami gotowymi do strzału wpadło do naszego pomieszczenia. Rabowali wszystko, co było pod ręką – od korder do cebuli włącznie. Jeden z nich spostrzegł na nogach młodego pana Bieleckiego buty z cholewami. Przystawił mu pistolet do skroni i kazał je ściągnąć. Nie wiedzieliśmy wówczas, że oddanie butów uratowało młodego człowieka od śmierci.

Następnego dnia żołnierz nie przyszedł do pana Bieleckiego. W tym dniu Niemcy nie wypuścili już zebranych do pracy ludzi. Zgromadzono ich w piwnicy dużego domu przy ulicy Targowej, a następnie budynek podpalono. Hitlerowcy strzelali do każdego, kto próbował wyskoczyć przez okno. Nikt nie wyszedł stamtąd żywy.

Od paru dni panował spokój. Przypuszczaliśmy, że powodem było podejście w te okolice wojsk polskich i radzieckich. Późnym popołudniem siedziałam w kuchni sama. Nagle usłyszałam warkot motoru, po czym zobaczyłam jadący wzdłuż ulicy Topolowej czołg z czerwoną gwiazdą.

– Pani Stefo – rozdarłam się na całe gardło. – Prędko, prędko, niech pani tu biegnie!

Patrzyłam i patrzyłam, ale wzrok mnie nie mylił. Powoli, powolutku, o jakieś dwieście-trzysta metrów od domu państwa Werników sunął czołg z czerwoną gwiazdą. Nie wierzyłam własnym oczom. Wpadła pani Stefa.

– Co się stało – zapytała przerażona.

– Tam. Czołg z czerwoną gwiazdą!

– Gdzie, gdzie?! – zawołała.

Czołg jednak skrył się już za drzewami. Zainteresowani moim krzykiem domownicy zbiegli się do kuchni. Próbowалам ich przekonać, ale ujrzałam tylko pobłażliwe uśmiechy.

W parę dni później zjechała cała gromada frontowego wojska. Ci nie zabierali ludzi. Nie kryliśmy się więc przed nimi, tak jak przed niemiecką żandarmerią. Mężczyźni jednak nadal nie wychodzili „na powierzchnię”, ale nie leżeli już pod podłogą, lecz siedzieli w piwnicy.

Pośród niemieckich żołnierzy, którzy zatrzymali się w domu państwa Werników, znalazł się jeden przerażony chłopak. Nie zważał na to, że nosi mundur armii „zdobywców”.

– Iwani idą – mówił. – Za parę godzin nas już tu nie będzie. Oni idą bardzo szybko.

Cieszyliśmy się. Wieczorem Niemcy uciekli. Na podwórzu został tylko jakiś stary żołnierz. Zabrałyśmy się do pieczenia chleba. Jeśli wojska radzieckie rzeczywiście wejdą, to należy się spodziewać ewakuacji poza linię frontu. Niemcy bowiem zajęli stanowiska obronne w Chotomowie. Kiedy prawie w nocy wyszliśmy na podwórko po wodę, zza krzaków wyłoniła się jakaś postać.

– Co wy tu robicie? Dlaczego, nie ewakuowane? – zapytał męski głos.

Wymyśliłyśmy na poczekaniu historię, że pracowałyśmy w kuchni polowej i Niemcy obiecali nam, że nas zabiorą w krytycznej sytuacji. No i czekamy do tej pory.

– Oszukali was – powiedział żołnierz z charakterystycznym śląskim akcentem, – Całe wojsko już się wycofało. Zostały tylko ostatnie strażę. Teraz pomyślcie o własnej skórze. Jutro rano być tu ruski.

Z radości serca podskoczyły nam do gardeł.

Na odcinku Legionowo-Przystanek – Chotomów front stał około pół roku. Na Przystanku byli Rosjanie, a w Chotomowie bronili się Niemcy.

Upragnione jutro nadeszło. Dwudziestego ósmego października 1944 roku już od samego rana było zupełnie pusto i cicho. Długo staliśmy we wszystkich oknach, aż wreszcie około godziny dziesiątej ktoś zawołał:

– Patrzcie, patrzcie! To chyba Rosjanie!

Podbiegliśmy wszyscy do jednego okna i z daleka, by sami być niewidoczni, patrzyliśmy. Szare, zgarbione postacie przemykały pod płotami ulicy Gdańskiej. Biegły szybko w stronę Chotomowa, dokąd wycofali się Niemcy. Tak, to Rosjanie. Łzy popłynęły nam po policzkach. Wreszcie weszli i na nasze podwórko. Byliśmy wolni.

Niemcy nie chcieli się dalej cofać, postanawiając utrzymać w Chotomowie swoje pozycje. W tej sytuacji ewakuowaliśmy się poza linię frontu. Po drodze pogubiliśmy się. Szłam więc do Legionowa. Był tam czynny polski szpital. Myślałam, że może tam przydam się do jakiejś pracy.

W drodze z Przystanku do Legionowa postanowiłam wstąpić do państwa Chrostowskich, aby dowiedzieć się czy mają jakieś wiadomości od swoich dwóch córek, aresztowanych przez Niemców – Wiki i Róży. Jakaż ogromna była moja radość, kiedy ujrzałam je obydwie siedzące przy stole. Były dla mnie przecież jak siostry. Pani Chrostowska pytała mnie o moje losy. Kiedy dowiedziała się, że idę do Legionowa szukać pracy zaproponowała mi, abym pojechała z jej córkami w okolice Ostrołęki, gdzie mieszkała jej rodzina. Łzy wzruszenia były moją odpowiedzią.

Razem z Wiki, Różą i ich dwiema siostrami szłyśmy w kierunku Radzymina. Każdy nasz krok w głąb wyzwolonej ziemi kazał nam oglądać spustoszenia poczynione przez okupanta i przez front. Nogi odzwyczajone od chodzenia zaczynały boleć. Pięty miałyśmy poobcierane do krwi.

Dwudziestego dziewiątego października 1944 roku po południu minęłyśmy Państwowy Instytut Meteorologiczny i skręciłyśmy w prawo na szosę do Strugi. Zapadał zmrok. Było nas na zupełnie pustej drodze pięć dziewcząt. Najstarsza miała lat dziewiętnaście, dwie najmłodsze po czternaście. Staraliśmy się nie tracić humoru i nadrabialiśmy minami, bo te młodsze miały ochotę płakać. W pewnej chwili minął nas wóz zaprzężony w jednego konia, załadowany ziemniakami. Młodsze uchwyciły się wozu, ale kiedy dostały batem po rękach rozplakały się. Ten przykry fakt ocalił nam życie. Kilometr dalej wóz wjechał na minę. Rozerwało konia, pojazd i woźnicę.

Z szosy strużańskiej wyszłyśmy na szosę radzywińską. Zapadła noc. Pusto dokoła, teren nieznanymi i pięć samotnych, młodych dziewcząt... Ciężko opisać mi te wrażenia i uczucia samotności i bezradności. Los jednak uśmiechnął się do nas. Na drodze pojawił się jakiś mężczyzna prowadzący rower. Zainteresował się nami i rozpoczął rozmowę z Wiki. Skąd i dokąd idziemy. Kiedy dowiedział się jak to z nami jest zaproponował nam nocleg u siebie.

Następnego dnia rano nakarmione i wyspane ruszyłyśmy do Wołomina. Stamtąd bowiem kursowały pociągi. Z trudem dostałyśmy miejsce w jakimś towarowym wagonie. Byłyśmy szczęśliwe, że jedziemy. Pociąg wielokrotnie przystawał na trasie, ale jechał. W podróży upłynął cały dzień. Minęłyśmy Tłuszcz, Łochów, aż późnym wieczorem znalazłyśmy się w Treblince. Stąd na piechotę musiałyśmy wrócić do Malkini, gdyż tam znajdował się jedyny pontonowy most na Bugu.

Ludzie, którzy wysiedli z pociągu natychmiast podzielili się na dwie grupy. W pierwszej znaleźli się młodzi mężczyźni i młode kobiety. W drugiej zaledwie kilka kobiet z małymi dziećmi. Byłyśmy wypoczęte, więc mogłyśmy iść z pierwszą grupą. Ulegając jednak prośbom i płaczowi zostałyśmy z drugą grupką. Wlokłyśmy się krok za krokiem (z powodu małych dzieci) przez całą noc. Było to straszne. Po

obu stronach las. Teren zupełnie nieznan. Ciemna, bezgwiazdka noc. Od toru odejść nie można, bo mogą być miny. Po torze także iść się nie powinno, bo z tyłu cichutko mógł nadjechać nieoświetlony pociąg. Byłyśmy przecież na terenie przyfrontowym. Zdecydowałyśmy się jednak iść torem. Najgorsze było przejście przez jakiś rwący potok, nad którym znajdował się tylko prowizoryczny mostek kolejowy. Pod szynami miał tylko podkłady kolejowe, między którymi straszyły niczym nie zabezpieczone szczeliny. Gdyby któraś potknęła się i wpadła w dziurę – nie byłoby żadnego ratunku.

Dzieci płakały, kobiety też. My również nie byłyśmy w najlepszych humorach. Wreszcie na parę kilometrów przed Małkinią, kiedy zaczęło się rozwidniać, a my byłyśmy już naprawdę bardzo zmęczone, kobiety nagle oświadczyły, że dzieci czują się lepiej i mogą iść szybciej. Dodały, że nasze zwolnione tempo nie odpowiada im, więc nas zostawiają i idą same naprzód. Naprawdę nie miałyśmy już wtedy siły.

Dopiero koło południa dowlokłyśmy się do Małkini. Musiałyśmy odpocząć. Z Małkini pojechaliśmy pociągiem do Ostrowi Mazowieckiej, a stamtąd szosą w kierunku na Zambrów – częściowo samochodem, trochę furmanką i na własnych nogach. Późną nocą 31 października 1944 roku dotarłyśmy do Wyszomierza. Po paru dniach spędzonych w atmosferze życzliwości doszłyśmy do siebie. Nogi przestały krwawić, ale butów jeszcze założyć nie mogłyśmy. Boso chodzić nie mogłyśmy, bo chwyciły przymrozki. Dopiero po tygodniu nasza piątka, nie chcąc obciążać rodziny Wojszów, podzieliła się. My z Wiki, jako najstarsze, poszłyśmy do pobliskiej wsi Szumowo na zaproszenie państwa Chylińskich, którzy wzięli nas na swoje utrzymanie. Dom ich stał blisko lasu. Do najbliższej wsi było około półtora kilometra. Darmo chleba jeść nie chciałyśmy. Staraliśmy się więc uczyć dzieci i robić na drutach. Plecy bolały od całodziennego siedzenia z drutami w rękę, a język kołowaciał od ciągłego gadania. „Ucząca się” młodzież była w różnym wieku – od ośmiu do siedemnastu lat, więc z każdym prawie trzeba było mieć oddzielne lekcje. Staraliśmy się jak tylko mogłyśmy dać z siebie najwięcej. Chwilami jednak przerażał nas brak podstawowych wiadomości u dzieci. Kiedyś trzynasto- czy czternastoletnia dziewczynka zapytała nas, jak wygląda morze i czy jest ono takie wielkie, jak ich pole. Kiedy staraliśmy się choć trochę przybliżyć pojęcie morza, dziewczynka uśmiechnęła się i patrzyła na nas z politowaniem. Nie zwracając na to uwagi opowiadałyśmy o okrętach, o handlu, jaki dzięki morzu możemy prowadzić.

Czy ten okręt to jest taki duży, jak nasza chałupa – zapytało dziecko.

Kiedy twierdziłyśmy, że taki jak trzydzieści jej chałupa, albo i więcej, dziewczynka rozplakała się, że my sobie z niej kpimy, a ona przecież pyta poważnie.

W gronie naszych uczniów miałyśmy również dziewięcioletniego chłopca, który prawie przez godzinę powtarzał za nami kolejność liczb od jednego do dwudziestu. Przez cały czas mówił prawie dobrze, tyle że opuszczając liczbę szesnaście lub siedemnaście. Kiedy Wiki straciła cierpliwość, ja wzięłam się za niego. Przegrałam – on był bardziej uparty. Dopiero pod koniec drugiego miesiąca nauki przyswoił sobie liczenie do trzydziestu, ale o dodawaniu lub odejmowaniu mogła być mowa tylko w zakresie pierwszej dziesiątki.

I jeszcze jedno pamiętam z tamtego okresu. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam głód drukowanego słowa. W całej wsi nie było ani jednej książki. Po usilnych staraniach syna naszych gospodarzy i za jego pośrednictwem wypożyczono nam z odległej wsi jedyną książkę, jaka się tam znajdowała. Była to jakaś powieść Mniszchówny.

Warszawa wolna. Ta wieść lotem błyskawicy obiegła kraj. Natychmiast założyłyśmy na plecy nasze worki i wróciłyśmy do Legionowa, aby zobaczyć co dzieje się z rodzicami Wiki. Stamtąd już następnego dnia wyszłyśmy do Warszawy. Rodzice Wiki mieli tam mieszkanie przy ulicy Koszykowej 20. Byłyśmy już zaprawione w chodzeniu. Droga przez Jabłonkę, Wiśniewo i Warszawę Pragę nie wydawała nam się już taka męcząca.

Na ulicy Brukowej stał rząd furmanek, cierpliwie oczekujących w długiej kolejce do wjazdu na most pontonowy. Piesi też musieli czekać, ale szło to o wiele sprawniej. Kiedy wyszłyśmy na drugi brzeg Wisły w nozdrza nasze uderzył swąd spalenizny, która mimo tyłu miesiący dawała się wyraźnie wyczuć. Ulicą Karową powędrowałyśmy w górę do Krakowskiego Przedmieścia, a stamtąd Nowym Światem poprzez Plac Trzech Krzyży, Mokotowską aż do Koszykowej. Ten kawałek stolicy, który ujrzałyśmy idąc od mostu do Koszykowej, przekraczał nasze najbardziej nawet tragiczne wyobrażenia o zniszczonym mieście. To była pustynia gruzu i cmentarzy. Nie było podwórka, ani nawet najmniejszego placiku, na którym nie byłoby mogił.

Z czasem odnalazłam siostrę Mamy, ciocię Józję. Uderzyło mnie wielkie podobieństwo ich głosów. Nie płakałam jednak.

Epilog – Warszawa i „mój” Batory

Najcięższe dla kobiet było noszenie wody z sąsiedniej ulicy (Piękna 12 – dziś mieści się tu Ambasada USA). Filtry jeszcze nie działały, a myć się i gotować jedzenie trzeba było. Staliśmy więc w długiej kolejce do studni, która znajdowała się na podwórku Dziś już nieistniejącego domu. Było tak zimno, że nogi prawie natychmiast kostniały. Przy studni trzeba było bardzo uważać. Wylewana z wiader woda natychmiast zamarzała wokół studni i było bardzo ślisko. Ludzie posypywali ślizgawicę piaskiem i popiołem, ale to nic nie pomagało.

Nareszcie miałyśmy wodę. Dźwigałyśmy po dwa wiadra. Trzeba było iść bardzo ostrożnie, żeby nie rozlać i nie przewrócić się. Cztery wiadra wody na osiem osób to niewiele, ale musiało wystarczyć. Marzeniem naszym było wówczas, aby wreszcie uruchomiono filtry. Wiedziałyśmy, że nie od razu będzie w kranach woda, ale może chociaż jakiś punkt na naszej ulicy.

Miasto powoli odradzało się z ruin i zgliszcz. Front przesuwał się coraz bardziej w głąb Rzeszy. Docierające do nas wiadomości zapierały dech w piersiach. Wojsko Polskie wraz z Armią Radziecką nieprzerwanie przez czterdzieści dni nacierało na Niemców.

Odgruzowano róg ulicy Koszykowej i Mokotowskiej. Była tu prawdopodobnie barykada, która została przysypana gruzem walących się domów. Miasto z każdym dniem nabierało nowej barwy życia. I chociaż na ulicach widziało się łachmany nędzarzy i wszystko było zniszczone, chociaż puste otwory okienne ziały rozpaczą – wiedzieliśmy, że wróciliśmy na „własne śmiecie”, z których nic nas nie wykurzy.

Mniej więcej w marcu 1945 roku poszliśmy z Wiki na Stare Miasto. Stojąc na Placu Zamkowym domyślałyśmy się gdzie była ulica Piwna, a gdzie Świętojańska. Zwały gruzu sięgały bowiem wysokości piętra. Tu było jeszcze zupełnie pusto. Ale już pierwsze warszawskie gołębie zaczynały krążyć nad ulicą Piwną, gdzie w gruzach zamieszkała stara kobieta nazywana powszechnie Dosią. U jej stóp siadały gołębie zwabione resztkami jedzenia.

W marcu lub na początku kwietnia zapisałyśmy się do Gimnazjum im. Stefana Batorego przy ul. Myśliwieckiej 6. Rozpoczęłam naukę. Uczylałam się w kuchni, aby swoim „kopcinoskiem” (blaszane pudełko z przewierconą w pokrywie dziurką, przez którą wyprowadzony był knot) a nie przeszkadzać spać innym. Mój „apartament” mieścił się za szafą w kuchni, z której korzystały dwie obce rodziny. Zdawać by się mogło, że nic więcej mi nie potrzeba nad ten cichy kąt. Niestety było tam tak ciemno, że nauka w tym miejscu była zupełnie niemożliwa. Uczylałam się więc przy stole, na którym stała zwykle cała masa brudnych talerzy i garnków do zmywania. „Stół w kuchni służy do użytku kuchennego, a nie do czegoś tam innego” – usłyszałam od współlokatorki. Ale to byłoby jeszcze znośne. Gorsze było to, że na podwórku dzieciarnia z całej kamienicy urządzała sobie zabawy w Indian. Było mi wtedy niezmiernie trudno skupić uwagę. Mieszkaliśmy na parterze, a okno kuchenne wychodziło akurat na podwórko. Tu zawsze było najgłośniejsze. Kiedy zaś wieczorem, zadowolona z zapadającej ciszy siadałam do nauki, mój opiekun przychodził do kuchni i dbając o moje zdrowie („trzeba się uczyć w dzień, a nie psuć oczu po nocach”) gasił mój „kopcinosek”. Musiałam iść spać. Czekałam długo w łóżku, aż wszyscy zasną i dopiero wówczas, osłaniając wąty płomyczek, rozpoczynałam naukę. Jeśli usłyszałam kroki zbliżające się w stronę kuchni gasiłam światelko i chowałam pudełko pod łóżko. Było mi przykro, że muszę udawać sen i oszukiwać pana Chrostowskiego. Często jednak zdarzało się, że natychmiast po zgaszeniu światła naprawdę zasypiałam.

Miałam już dziewiętnaście lat. Szłam do szkoły z myślą, że to już na pewno ostatni raz. Przecież muszę wreszcie rozpocząć samodzielne życie... W przerwie między lekcjami chodziłam po szkolnym dziedzińcu i myślałam – ostatni raz w szkole. Łzy napływały mi do oczu. Trudno – zdecydowałam. Gdy skończyły się lekcje pozostałam jeszcze przez chwilę w klasie, by raz jeszcze obejrzeć miłe kąty, do których już nie wrócę. Za parę dni przyjdę tylko do kancelarii wycofać swoje dokumenty.

Krysia Wileńska wróciła nagle do pustej już klasy i zawołała „idziemy”. Siedziała ze mną w jednej ławce, a ponieważ mieszkaliśmy niedaleko siebie, więc zawsze razem szłyśmy do szkoły i wracałyśmy do domu.

Wyszłyśmy na dziedzińiec. Rozmawiałyśmy o codziennych kłopotach. Nagle zza zakrętu wyszedł siwowłósy, lekko przygarbiony pan. Pozdrowiłyśmy go i chciałyśmy minąć, ale pan dyrektor Roman Beranek zatrzymał się, popatrzył na mnie i zapytał:

– Panna Strojnowska, jeśli się nie mylę?

Skąd zna moje nazwisko? – pomyślałam. Przecież nie uczy w naszej klasie.

– Proszę panią na chwilę do gabinetu – powiedział.

Krysia obiecała, że poczeka na mnie, a ja z drżeniem serca wracałam do szkoły. Czyżbym coś przeskrobała? Szybko zrobiłam rachunek sumienia i nic na swoim koncie nie znalazłam. Weszliśmy do gabinetu. Pan dyrektor podszedł do biurka, otworzył kluczem jakąś szufladę, po czym wyjął z niej listę i pieniądze.

– Niech pani to podpisze.

– To dla mnie? Skąd? Przecież ja tego przyjąć nie mogę – powiedziałam zdumiona.

Pan dyrektor uśmiechnął się i dodał:

– To nie jałmużna moje dziecko. To stypendium.

– Ależ ja nie zasłużyłam...

– Czy pani zasłużyła czy nie – to inna kwestia. Jeśli zasłużyła pani – to nagroda. Jeśli nie – to na pewno pani na nią zasłuży.

Łzy zadrżały mi pod powiekami, kiedy podpisywałam listę. Moje pierwsze stypendium. Ktoś pomyślał o mnie, chociaż do nikogo nie zwracałam się o żadną pomoc. Wysłałam z budynku. Krystyna podeszła do mnie.

– Czemu płaczesz? – zapytała.

– Stypendium – powiedziałam cicho, pokazując banknoty.

– Staralaś się o nie?

– Nie.

– Dobry ten nasz „Stary”. Nie patrzy, nie słyszy, a wie co komu potrzeba. No, tutaj jest na pewno i robota „Dyzia”. To morowy chłop – powiedziała, mając na myśli wychowawcę naszej klasy pana profesora Czesława Fotymę.

Wróciłam do domu. Wszystkie pieniądze oddałam cici. To niewiele wprawdzie, ale jednak bardzo pomocne w naszym budżecie. Wieczorem dostałam pracę. Mogłam ją wykonywać w nieokreślonych godzinach. Jedyne warunki – terminowo. Pracować miałam w oddzielnym pokoiku, więc bez obawy, że komuś będę przeszkadzała. Pomyślałam, że może jednak kiedyś dobrnę do matury...

Pozostała jeszcze tylko jedna godzina lekcyjna. Pójdę do domu – myślałam – i przede wszystkim rzucę się na łóżko. Chociaż na godzinkę. A potem znów do pracy. Słychać już było dzwonek oznajmiający rozpoczęcie ostatniej lekcji. Do klasy wszedł wychowawca. Byliśmy zdziwieni – przecież to nie jego zajęcia.

– Proszę wyjść na korytarz i ustawić się parami – powiedział.

Zastanawialiśmy się co się stało. Miał jakoś dziwnie zmieniony głos. Taki jakby drżał głęboko ukrywanym wzruszeniem. Patrzyłam na niego. Zza dużych okularów z daleka nie widać było jego oczu, ale widzieliśmy uśmiech na ustach. Weszliśmy do holu, gdzie już wiele klas zajęło swoje miejsca. Komunikaty podawali rano, więc musiało się stać coś ważnego, skoro zwołano nas dzisiaj po raz drugi.

Po paru minutach sprawa się wyjaśniła. Usłyszeliśmy głos dyrektora:

– Kochana młodzieży. Zebraliśmy was tutaj, gdyż chcemy wam przekazać dobrą nowinę. W dniu dzisiejszym Niemcy podpisali kapitulację. Wojna się skończyła. Możemy spokojnie przystąpić do budowy naszego szczęśliwego jutra.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale burza oklasków i okrzyków nie dała mu skończyć. Młodzież szalała, krzyczała, śmiała się. Cieszyłam się razem z innymi, chociaż oczy miałam zupełnie mokre. Moi biedni – Mama i brat... Nie doczekali tej szczęśliwej chwili. A Ojciec?

– Czego ty płaczesz? Czego płaczesz głupia? – zawołała Krystyna.

– Ze szczęścia – odpowiedziałam.

– Ze szczęścia? – zapytała zdziwiona.

Nie miałam do niej żalu, że mnie nie zrozumiała. Byłam najstarsza w klasie. Dużo przeszłam w życiu i dlatego nieraz nie rozumialiśmy się z niektórymi koleżankami.

Pan dyrektor uciszył wreszcie panujący hałas i zaczął mówić dalej. Nie słyszałam już jego słów. Wiedziałam tylko, że koniec wojny oznacza koniec głodu, łapanek, strachu, wywożenia ludzi do obozów. To koniec Oświęcimia, Dachau, Ravensbrück i innych obozów śmierci. To praca z nadzieją na lepsze jutro...

Zwolniono nas do domów. Uciekałam pierwsza. Chciałam być sama bez żadnej koleżanki. Szłam ulicą i myślałam, jaka jestem szczęśliwa, że mogę iść bezpiecznie jedną ulicą, potem drugą i trzecią, bez obawy mijam każdy róg. Dawniej, w czasie okupacji, jadąc tramwajem człowiek wypatrywał, czy przypadkiem nie zatrzymują wozu. Idąc dyskretnie oglądał się, czy gdzieś za rogiem nie czeka na niego żandarm. Boże mój kochany – myślałam – jakie to szczęście, że wojna się skończyła. Pokój na świecie. Rozumiałam całą doniosłość tego słowa. Chciałam biec przez ulice i krzyczeć: „wojna skończona”. Na pewno wiele osób jeszcze o tym nie wiedziało. Jakże będą szczęśliwi, kiedy się o tym dowiedzą.

Byłam pierwszą osobą, która przyniosła do domu tę radosną nowinę. Z wyrazu twarzy domowników widziałam, że mi nie wierzą. „Dałby Bóg” – powiedziała ciocia z westchnieniem. I ona mi nie wierzyła. Widocznie przez te okropne sześć lat ludzie przyzwyczaili się do wątpliwości. Mówię prawdę – przekonywałam – dlatego puszczone nas wcześniej ze szkoły. „Dałby Bóg” – powtarzała ciocia.

Ukryłam się znów w naszym kąciku za szafą, bo oczy zrobiły mi się wilgotne. Potem poszłam do kina. Po raz pierwszy od sześciu lat. Dotrzytałam słowa, które daliśmy sobie z bratem. W czasie okupacji nigdy nie byłam na żadnym filmie. Kino „Polonia”, w którym siedziałam, było obrzydliwe. Ciemna, zniszczona rudera. Grano radziecki film „Zoja”. Treść tragiczna. Film zdarty. Trzeba przeżyć tragedię nie tylko swoją, ale i ludzką, a potem... pójść w nowe, lepsze życie – myślałam.

Po latach pojechałam do Legionowa. Postanowiłam z daleka spojrzeć na działkę Rodziców od strony ulicy Topolowej. W 1944 roku Niemcy na terenie III parceli Legionowa Przystanek (od strony Chotomowa) wycięli wszystkie drzewa. Teraz cały ten obszar zalesiony był na nowo. Sosenki były już duże. Na niektórych działkach w miejsce zniszczonych domów pobudowano nowe. Choć układ ulic pozostał ten sam, to jednak inny obraz otoczenia spowodował, że zabłądziłam. Może przyczyną było i to, że postanowiłam podejść nie od strony torów kolejowych, ale z przeciwnej – od ulicy Topolowej. Idąc Topolową doszłam do górki przy Sosnowej i Wiśniowej. Teraz dopiero zorientowałam się, że jestem na dawnym, dobrze mi znanym miejscu. Było późne popołudnie. Słońce chyliło się ku zachodowi. I nagle... stojąc już na szczycie górki popatrzyłam w kierunku ulicy Kolejowej. Na tle promieni słonecznych ujrzałam na dawnej działce moich Rodziców dom – zdawać by się mogło – łudząco podobny do dawnego. Ale był to już inny dom... Z komina unosił się w niebo szary dym, przywołując wspomnienia sprzed lat. Łkanie wyrwało mi się z piersi, a z oczu popłynęły łzy. Postałam chwilę. Patrzyłam... Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tego widoku.

Znów minęło parę lat. Postanowiłam tam wrócić i pójść dawną drogą, którą chodziłam, tj. od strony ulicy Kolejowej. Na działce Rodziców stał inny, zupełnie inny dom, nie podobny do dawnego domu moich Rodziców. Nosił też zupełnie inny numer. Postałam, popatrzyłam... i odeszłam, unosząc ze sobą nowe widoki, ale zachowując w sercu te sprzed ponad pół wieku...